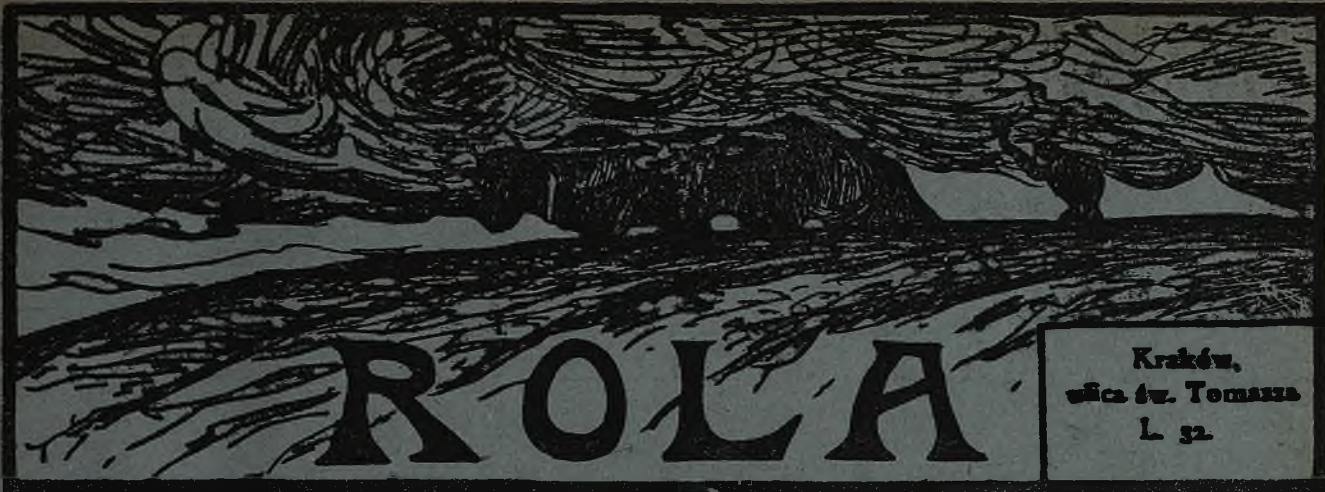


ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.



Niestropiony.

Ktoś opowiada swemu znajomemu, znanemu myśliwemu, a jeszcze bardziej znanemu łgarzowi, że powrócił świeżo z północnej Afryki.

— Tak, tak... — odpowiada zaraz niezmordowany łgarz — piaski Sahary, góra Atlasu... znam to, znam... Chciałbym mieć teraz tyle dolarów, ile tam tygrysów położyłem trupem!...

— Ależ przepraszam pana bardzo, — zwraca mu uwagę znajomy — w północnej Afryce niema tygrysów...

— Właśnie, naturalnie, że ich niema! — odpowiada łgarz, ani na chwilę nie stropiony. — Skąd mają być, skoro je dawno wszystkie wystrzelałem?



Wykładanie Pisma św.

Pewien nauczyciel objaśniał zdanie Pisma św.: Jeśli kto ci da w policzek, nadstaw drugi, a nie gniewaj się. — Pewien sędzia wiejski zapytał go potem, czy on trwa przy tem tłumaczeniu Pisma św. — Tak jest — odpowiedział nauczyciel. — Wtedy sędzia uderzył nauczyciela w policzek, a ten zaraz nadstawił drugi, a sędzia znowu uderzył. Teraz rzekł nauczyciel: Jest jednak w Biblji takie miejsce: „Jaką miarą mierzycie, będzie wam odmierzone". I nuże prać sędziego. Sąsiad, słysząc hałas, posyła służącego, by zobaczył, co się dzieje. Służący wrócił z taką wiadomością: Nauczyciel i sędzia wykładają sobie nawzajem Pismo św.

Mojżesz.

Artysta ma malować obraz, przedstawiający Mojżesza, gdy laską uderza w skałę. Znalazł odpowiednio wyglądającego handełesa i ustawia go w dotyczącej pozycji.

Za chwilę model zaczął się ręką skrobać po nosie.

— Ale stójże przecie cicho!

— Nu, pan malarz, to trudno, przecież i Mojżesz byłby się poskrobnił w nos, gdyby go muchy kąsiły.

Czy baba jest człowiekiem?

Sprawiedliwie wam mówię, kumie, że baba nie jest człowiekiem!

— Ej, kpiarz z was kumoterku, dlaczegożby to baba nie miała być człowiekiem?...

— Ano, przekonajcie się sami... Jak zawołacie za chłopem: „Hej człowieku!" — to się oglądnie; a spróbujcie tak zawołać za babą... zobaczycie, że się nie oglądnie...

Chytry.

— Teraz dostaniesz takie lanie, że popamiętasz ruski miesiąc... Czego się tak smarkaczu patrzysz na mnie?

— Bo w historji naturalnej pisze, żeby podrażnionemu lwu, patrzeć spokojnie i ostro w oczy, wtedy on będzie wspaniałomyślny, zawyje i odejdzie!

Numer 50. Rok XIV. Kraków, dnia 13 Grudnia 1931.



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« Kraków, ulica św. Tomasza 32.
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.381 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Pocz. Urząd Czekowy 500.868.

Od św. Łucji do Wigilji.

W najbliższą niedzielę, to jest dnia 13 grudnia przypada święto świętej Łucji. Od dnia tego, aż do Wigilji ludność niektórych okolic w Polsce notuje sobie skrzętnie w pamięci, jaka w tych dniach była pogoda i z tego wyciąga wnioski na rok przyszły. Oprócz tego w okresie tym wróżą sobie w najrozmaitszy sposób, o czem pomówimy poniżej. Nie dlatego, abyśmy wierzyli w to, że owe przepowiednie muszą się ziścić, ale dlatego, że jest to rzecz zupełnie niewinna i miła, jako zabawka, przeto niektóre z tych zwyczajów dzisiaj tutaj przytoczymy. Może niejedna z naszych czytelniczek, lub niejeden z czytelników wróżb tych popróbuje i przekona się, że mogą się spełnić, ale jeszcze częściej się nie spełniają.

A więc niektórzy przepowiadacze twierdzą, że jaka jest pogoda przez 12 dni od świętej Łucji do Wigilji, taka będzie pogoda przez 12 miesięcy w przyszłym roku. Gdzieniegdzie dni te świadczą o pogodzie tylko pierwszej połowy każdego miesiąca następnego roku, natomiast druga połowa miesięcy jest taka, jaka jest pogoda dni od Bożego Narodzenia do Trzech Króli.

W niektórych okolicach w dzień św. Łucji sadzą dziewczęta a także i chłopcy gałązki czereśni do wazonów, podlewają je i trzymają w cieple. Któremu z nich pierwej taka gałązka zakwitnie, ten pierwej się ożeni, względnie ta pierwej wyjdzie zamąż. Jeżeli gałązka wcale nie zakwitnie, z małżeństwa w najbliższym roku nic nie będzie.

Jeżeli młodzieniec rozpocznie robienie warzechy w dzień św. Łucji i robi ją codziennie, a skończy w Wigilję, dowie się, jaka będzie jego żona. Powinien w Wigilję wieczorem wyjść z tą warzechą na pole, a otrzyma znak lub usłyszy głos, z którego będzie mógł wywnioskować o swej przyszłej. Gdy np. usłyszy trzask bicza, będzie to napewno gospodarska córka.

W czasie od św. Łucji do Wigilji zbierają w niektórych okolicach patyczki, które spalają w Wigilję. Jeżeli popiół z tych patyczków utworzy kształt trumny, to dana osoba umrze, jeżeli kształt kwiatu, ożeni się i t. p.

Między przesądami wigilijnemi najwięcej może jest takich, które są wróżbami przyszłych losów serca. Ot naprzykład taki maleńki przesąd: Oto dziewczęta, pragnące wyjść zamąż (a któraż tego nie pragnie) dziewięć dni przed Wigilją przygotowują dziewięć kartek i na każdej z nich wypisują nazwisko jakiegoś miłego im mężczyzny, względnie dziewczyny, jeżeli to robi chłopiec. Następnie codziennie palą jedną losem wybraną kartkę tak, że na Wigilję pozostaje tylko jedna kartka. Czyje na niej jest nazwisko, ten będzie mężem, względnie żoną danej osoby.

Dziewczęta badają też tajemnicę przyszłości w ten sposób, że przed Wigilją piszą na siedmiu kartkach imiona siedmiu znanych młodzieńców i wkładają je pod poduszkę. W Wigilję po wieczerzy palą jedną kartkę po drugiej, zostawiając tylko ostatnią, a młodzieniec na niej napisany, jest przeznaczony na męża danej dziewczyny.

Według innej odmiany dziewczyna pisze, poczynając od św. Łucji, każdy dzień na karteczce jakiś zawód, np. rolnik, robotnik, szewc, nauczyciel, organista, miljoner i t. p. W Wigilję, gdy gospodyni smaży ryby, dziewczyna zwija kartki w rureczki i podrzuca je trzy razy w górę, aby się pomieszały. Następnie jedną po drugiej wrzuca do ognia pod blachę, a ostatnią zachowuje. Wypisany tamże zawód będzie zawodem jej przyszłego męża.

Jak już zaznaczyliśmy na wstępie, do wróżb tych nie należy przywiązywać żadnej wagi, chociażby nawet od czasu do czasu się spełniały. Bo spełnić się mogą, gdyż jeżeli jaka Stasia, Basia, czy Kasia wywróży sobie, że jej mężem będzie Jaś, to tak długo będzie za nim oczkami włóczyć, aż ten Jaś się jej dostanie, choćby przed wróżbami bardziej podobał się jej Staś.

MARJA WALLER.

„Stłumione echa“.

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony).

Jarucha opanowała się zwolna i w krótkich słowach opowiadziała przedpołudniowe spotkanie. Skryba zafrasował się mocno.

— Może jednak nie trafią!

— Nie trafią dziś, trafią jutro. Pętla zaciska się. Trzeba cofać się dalej i dalej... a wkońcu co? — szeptała stara.

— Mówicie, jakbyście chcieli ustąpić!

— Ustąpić?!! ja?!! — rzuciła się stara — chyba wy!!!

— Nie rzucajcie jadem, nie macie prawa! Nie ustąpiłem, gdym był młodszym, rzuciłem mienie, poszedłem w nędzę i poniewierkę! nie ustąpię i dziś! — odparł twardo.

Stara opamiętała się już.

— O tak się powie. Nie miejcie żalu! Ale to i rozebrało mnie dziś! Ot lepiej zwołajcie starych, niech radzą, co czynić należy.

— Szkoda wołać! Jedni na stawach za rybami, inni w knieji polują. W chatach baby i wyrostki same. Uradzimy oboje, a gdy wrócą, powtórzę im. Myślą tak, jak my.

— A młodsi?!

— Młodsi? Któż ich o zdanie pyta! Iść muszą tam, gdzie ojce! Tak każe stary obyczaj! — wyrzekł surowo.

— A tamci? I bogów starych rzucili i obyczaje dawne podeptali. Stamtąd mór na nas idzie i zagłada — wyszeptała stara, na zachód wskazując.

Oboje zadumali się ciężko. Stara ocknęła się pierwsza.

— Więc co radzicie, mówcie?!

— Ano cofać się nam trza! Przed kupałą jednak nie uradzimy. Pierwejby jednak tamtych otoczyć i w pień wyciąć... jak kiedyś... Ani noga ujść nie śmie... Bór ciemny nie zdradzi... — szepnął cicho stary.

Wtem na dziedzińcu dało się słyszeć człopanie koni.

— Hej — jest tam kto? — wołał jakiś głos.

Starzy skamienieli. Jakto!? już?! I nim mieli czas ochłonąć, drzwi pchnięte niecierpliwą ręką, otworzyły się i weszli dwaj nasi znajomi.

— Laudetur Jesus Christus! — pozdrowił obecnych kapłan.

— In saecula saeculorum — odpowiedział rezolutnie Bolko, spoglądając ciekawie na dwie postacie siedzące nieruchomo i nie kwapiące się z powitaniem.

Następnie rzucił kapłanowi porozumiewawcze spojrzenie i wysunął się naprzód.

— Witajcie! — zaczął. — Zdala jedziem i zdrożeni jesteśmy. O kęs chleba prosimy i o dobre słowo! a wzamian łaskę pańską przywozim! Książe Mieszko, pan nasz miłościwy, wysłał nas, abyśmy ziemie jego objechawszy, wszędzie rozkaz głosili: „jako na rozstajnych drogach Krzyże św. powinny być ustawione, aby wszelkie zło przystępu nie miało“. Doszły też Pana miłościwego wieści, jakoby po lasach a kniejach niedostępnych, jakowyś poganie swe obrzędy odprawiali. Tych o Wierze św. pouczyć należy, a o ileby oporni byli, mamy ich za wolą Pana łowić i do grodu dostawiać. Rozkaz jest surowy, gdyż wrogi nasze do Rzymu wieści ślą, jakoby Pan nasz miłościwy od oka tylko był chrześcijaninem, a potajemnie praktyki pogańskie odprawując, ludowi swemu nań pozwalał.

Bolko umilkł, czekając odpowiedzi, czy zaproszenia. Starzy jednak siedzieli nadal nieporuszeni. W młodym zakipiało na tę widoczną obelgę, dodał więc drwiąco:

— Chodźmy Ojcze! to snać nie nasi, nie Polanie, bo prastarych obyczajów gościnności nie znają! Hańba im!

Skryba podskoczył, jakby na żmiję nastąpił.

— Przyszliście tu stare obyczaje nam wypominać?! A kto je pierwszy sponiewierał, we krwi i łzach zmuszaną wiarę od obcych biorąc?! Kto wszechwładnego Sważyca i potężnego Peruna w pohańbienie dał? Kto prastare gontyny burzył, ognie święte zalewał, odwieczne dęby wycinał?! Kto umarłym ognia oczyszczenia żałuje i w doły dzielnych mężów jak padlinę grzebie?! Wy!! i tylko wy!! A dziś jeszcze łaską pańską nas kusicie, aby zaprzańców z nas uczynić! Bądźcie przeklęci!!! — wybuchnął z wściekłością.

Bolko, który kilkakrotnie chciał przerwać potok zarzutów, przyskoczył teraz do starego, pochwycił go za płótniankę na piersiach i potrząsł nim jak burza.

— Milcz starcze! bo...

Stary odepchnął go gwałtownie.

— Grozisz mi młokosie?! Ty mnie?! Kacie, którym jeszcze Ziemomysła starego doradcą był i pierwszemi krokami Mieszka kierował?! Mnie, władyce, przed którym wszystko drżało?! Dlatego, żem dziś trup!!! Ot, wasza wiara! O miłości nauczacie, a w tej miłości dręczycie, podpalacie i mordujecie! I teraz przyszliście z miłości, choć was tu nikt nie szukał i nie żądał! Bo my tu wolni, na wolnej ziemi! Bo my tu starej wiary stróże wierne! Więc przyszliście a nim odejdziecie, unurzacie ręce we krwi po łokcie! My zginąć musimy! ale zginiemy z przekleństwem na ustach, a z starą wiarą w sercu! Słyszysz ty tchórzu, co na bezbronne starce rękę podnosisz?!

W Bolku zakipiało. Krew czerwoną falą zalała mu oczy — skoczył z rykiem wściekłości... Nagle pomiędzy nich rzuciła się jakaś biała postać. Była to Sława. Cudne jej oczy płonęły oburzeniem, usta drżały. Dziewczyna zasłoniła sobą starego, a wyciągniętą ręką wskazywała drzwi.

— Precz!!

III.

Obaj wysłańcy książęcy, zjechali ze wzgórza zamyśleni i puścili się w drogę powrotną. Bolko był mocno tak z siebie, jak i z całego obrotu sprawy, niezadowolony. Dał się unieść gorącej krwi i pokpił sprawę. Teraz może dojść i do krwi bratniej rozlewu, a książe tego nie chciał, ba, nawet surowo zakazywał. Spoglądał więc z ukosa na kapłana, przygnębiony jeszcze bardziej jego milczeniem. Myśli tego ostatniego były niewesołe. Jechał, pieszcząc w duszy nadzieję zwycięstwa, opłaconego ceną bodaj nawet życia swego i zatrzymał się wobec zapory, zda się nie do przebycia.

— Zgrzeszyłem o Panie! zbyt sobie ufając! zgrzeszyłem! — kajał się w głębi serca. — Przebacz o Panie! Mea culpa!

I słał swą niewinną, dziecięcą niemal duszę i całą gorącej miłości pełną istotę do stóp Ukrzyżowanego. I płonął żądzą poświęcenia bez granic,

żądzą owocnej ofiary z ostatniej kropli krwi, z ostatniego tchnienia. Wreszcie ocknął się z zadumy, spojrzał wokoło. Droga wydawała się mu inną nieco.

— Czy aby dobrze jedziemy?

— Tak Ojcze! — rzekł Bolko uradowany.

— Myślałem, żeście gniewni — dodał po chwili. — Ale wierzcie mi, nie mogłem inaczej. Sam wiem, że źle się stało, ale nie mogłem.

— Wiem i nie winię cię.

Bolkowi kamień spadł z serca.

— Ale co teraz Ojcze? Co zrobimy? Łagodnością nie wskóramy nic, a przemocy użyć nam nie wolno! Zlitujcie się, radźcie!

— Cóż ja? Sługa Pański i nic więcej! Pan sam wie, jakimi drogami prowadzi do siebie! Czekajmy i ufajmy Mu!

Bolko zżymnął się niecierpliwie.

Cierpliwość i poddanie się woli Bożej, były to dwie cnoty, które ani rusz nie mogły znaleźć drogi do duszy zacnego skądinąd zapaleńca. Już miał nieco goretsze słowa na ustach, gdy uwagę jego zwróciła dziwna woń.

— Dym, nie dym — co to takiego?

Zatrzymał się, wciągając w nozdrza przyniesiony z wiatrem podejrzany zapach. Myśliwy, jak i ogół ówczesnych Polan spędzający większą część życia w borach, miał zmysły daleko lepiej rozwinięte, niż dzisiejszy człowiek cywilizowany. Musiał też i teraz znaleźć potwierdzenie swego przypuszczenia, gdyż zsunął się z konia i przepadł w gąszczu. W kilka minut później do uszu kapłana dobiegł okrzyk przestrachu i wnet ukazał się Bolko, prowadzący ośmnastoletniego może wyrostka, ubranego w nędzną, podartą płótniankę, przewiązaną powrósłem. Na nogach miał łapcie, wyplecione z łyka, przywiązane postronkami. Chłopak patrzył śmiało, ale podejrzliwie na obcych.

— Kim jesteś i skąd? — pytał kapłan.

— Co wam do tego? W drogę wam nie wchodzę, czego chcecie? — odparł hardo.

— Uważaj! do starszych mówisz! Wysłańcy księcia jesteśmy! — wykrzyknął Bolko.

Błysk zaciekawienia i coś jakby radość przemknęły w oczach chłopca.

— Jam Zbilut, Skrybów prawnuk. Na Triglawskiej górze nasza siedziba — odparł po chwili.

— Zbilut, syn Stanka?! — pytał mocno zdumiony Bolko, zamieniając z kapłanem porozumiewawcze spojrzenie.

— Tak się zwał mój rodzic. Lecz po Marzankach przepadł w puszczy...

— Oto niezbadane drogi Opatrzności! — przemknęło przez myśl kapłana.

— Nie przepadł, młodzieńcze, nie przepadł! Da Bóg, obaczysz go może niedługo — rzekł łagodnie do Zbiluta.

— Prawdali to? Żyw ociec mój? Mówcie! — Abo nie! Prowadźcie mie... matka... Muszę go widzieć dziś! zaraz! — bełkotał gorączkowo bezprzytomny prawie z radości, przypadając do kolan kapłana.

— Uspokój się! — rzekł tenże, gładząc rozwichrzoną czuprynę Zbiluta. — Rodzic twój żyw, zdrów i cały. Jedź z nami, a obaczysz go za kilka godzin!

Chłopak pobladł ze wzruszenia, osłabł, i żeby nie Bolko, byłby osunął się na ziemię.

— Co ci to? toś taka baba?! wstydź się! — strofował go.

— Chłopak spojrzał na niego żałośnie.

— Drugi dzień w ustach nic nie miałem. U nas głody... chleb skończył się dawno... Dziad kazał pozawczora na stawy do sieci... Nie posłuchałem, bo wody nie lubię! Wziąłem łuk, włosienie, przygarść plew na przynętę i uciekłem w las. Ubiłem trzy kaczki, cztery kurki złapałem w oka i zaniosłem wszystko dziadowi. Ale daremnie. Za nieposłuszeństwo, na cały dzień do komory zamknął; na chleb i wodę — mówił. — Że zaś chleba niema, to na wodzie się skończyło! Takem sobie powiedział, że dziś nic nie dam! A powiedło się od rana! Chodźcie! Pewno już dobre będą, to i was ugoszczę!

— Zsiądźcie z konia panie — rzekł, zwracając się do kapłana. — I dla nich znajdzie się coś nie coś.

Kapłan z uśmiechem usłuchał wezwania Zbiluta, który zręcznie przeprowadził konie przez niebardzo wysokie, ale zbite gąszcze, otaczające ze wszech stron niewielką, ale śliczną polankę, porośniętą bujną soczystą murawą. Polanka miała kształt jajowaty i wyższa nieco z jednej strony, opadała łagodnie, ku przeciwnemu krańcowi. W wyższej stronie znajdował się wielki płaski głaz, z pod którego sączyła się zimna jak lód woda i spływał w niżej położoną część łączki. Obok głazu leżało kilkanaście kamieni, ułożonych w niewielki stożek, a przy nim spora kupa gałęzi, polan, igliwia i popiołu.

Bolko rozglądnął się wkoło i spojrzał z uznaniem na młokosa.

— A toś się zagospodarzył! — mruknął.

— To nie ja, to ociec! Ociec mi ją pokazał. Znamy ją tylko oboje z matką i nazwali my ją Stańkową polaną — objaśniał młody.

— Ociec nauczył mie z łuku trafiać, sidła i paście zakładać, barcie w lesie wyszukiwać i więcierze zakładać. Żeby nie to, zginęlibyśmy z głodu!

Mówiąc to, rozkiełzał konie, które zaczęły zaraz chrupać smaczne, wonne zioła. Następnie, zerwawszy kilka olbrzymich liści łopuchu, rosnącego tuż nad wodą, skierował się ku owemu ułożonemu z kamieni stożkowi i pomagając sobie sporem polanem, zaczął je rozrzucać. Wreszcie ukazał się dół, a raczej jama, ukośna nieco względem powierzchni ziemi. Jama wyłożona była również kamieniami. Z jamy buchnęło ciepło, jak z pieca, i wraz z niem miła woń doleciała obecnych. Zbilut zaś, dmuchając w palce, wyciągnął cztery wielkie, nieforemne bryły gliny. Największą z nich odłożył na bok, a trzy pozostałe ułożył na liściach łopuchu, na zaimprowizowanym stole, który przedstawiał ów olbrzymi płaski głaz.

— Siadajcie proszę i pożywajcie w pokoju dary Boże — zapraszał serdecznie.

Bolko tymczasem zdjął z konia sporą sakwę i wyjął z niej potężny glon chleba i niebylejaki zwój kiełbasy. Odmówili obaj krótką modlitwę, a Zbilut śledził ich ruchy z ciekawością, zaprawioną sporą dozą strachu.

Wreszcie zabrano się do jedzenia. Bolko uśmiechał się łobuzersko, spoglądając na podejrzliwą minę towarzysza, przyglądającego się owym niesamowitym bryłom. Wreszcie, rozbiwszy nawierzchnię, odrzucił glinę wraz z piórami, a oczom zdziwionego kapłana ukazała się ślicznie upieczona, aromatyczna kaczka. Bolko oderwał spory kawał.

— Wspaniała! — mruknął Bolek, zatapiając zęby.

— Daj, spróbuję — rzekł, niedowierzająco jeszcze ksiądz.

— Rzeczywiście, nadzwyczajna! A toś się udał chłopcze!

— Ociec mie uczyli... Mówili, jakie zioła pchać do środka, aby mięso było delikatne... Inne idą do kaczki, inne do ptaszków... — mówił z przerwami, rwąc kawałki mięsa, dmuchając w nie i pochłaniając łapczywie.

— Weź chleba! — wołał na niego Bolko, a widząc nieśmiałe wahanie Zbiluta, odciął spory klin, przyczynił z łokieć kiełbasy i podał mu w milczeniu. Zbilut wyciągnął rękę, ujął chleb i ze łzami w oczach ucałował go. Następnie odłamał mały kawałek, a resztę odłożył na bok. To samo zrobił z kiełbasą.

— Dlaczego nie jesz? — pytał obserwujący go Bolek.

— A matka? Odjadę z wami, to kto o niej będzie miał starunek? Ta kaczka też dla niej. Przyjdzie tu wieczorem, gdy mnie nie będzie widać, to sobie zabierze! Ale się ucieszy! Chleba już tyle miesięcy nie widziała...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jesienną nocą.

W miejskim szpitalu była już cisza, nikt już po korytarzach nie chodził, światła w połowie pogaszone, tak, że panował mrok. Na jednej z sal, w której byli najbardziej chorzy, także panował spokój. Księżyc chwilami wychylał się zza chmur i z ciekawością zaglądał w blade twarze chorych, jakby się litował nad ich cierpieniem. Za oknami wiatr jesienny jęczał przeraźliwie, dziko wygwizdując jesienne melodje, które aż dreszczem przejmowały.

Za stołem siedziała siostra Zofja, odmawiając modlitwy, które płynęły z jej ust, jak szelest liści za podmuchem wiatru, a napełniały jakąś błogością, otuchą i wiarą w miłosierdzie Boże. Chwilami podnosiła swą główkę, gdy usłyszała jakieś westchnienie czy szept. Wtenczas szła, jak miłosierdzie, i niosła swą pomoc, ażeby ulżyć w cierpieniu... Zwano ją „Aniołem Dobroci".

Nie wszyscy byli pogrążeni we śnie. Z jednego łoża w jej stronę było zwrócone dwoje ciemnych oczu, świecących od gorączki...

Był to człowiek jeszcze młody, mógł mieć lat trzydzieści. Bladość twarzy robiła go jednak starszym, włosy jego czarne w nieładzie spadały mu na czoło, usta miał spalone od gorączki. Musiał być ciężko chory, gdyż oddech jego był krótki i urywany.

Patrzał na siostrę z jakiemś zdziwieniem.

— Ona się modli — przemknęło mu przez myśl. — Modli się... — rzekł słabym głosem.

Na dźwięk jego głosu siostra szybko wstała i podeszła do niego.

— Czy pan coś potrzebuje? — zapytała z troskliwością.

Spojrzał na nią swemi wielkiemi oczami, jakby się namyślał, czy o coś zapytać czy też nie... Czuł jej dłoń na swem czole — było mu tak dobrze... tak błogo... tak mu się rzewnie zrobiło... Wkońcu zapytał:

— Czy siostra wierzy w Boga?... Ja też kiedyś wierzyłem... modliłem się... ale to już dawno... dawno... Przestałem się modlić, straciłem wiarę...

Umilkł, oddech jego stał się jeszcze szybszy, pierś podnosiła się i opadała gwałtownie; oczy jego błyszczały jakoś dziwnie.

— Czy księdza kazać zawołać?...

Zaprzeczył ruchem głowy. Chciał być sam, było mu tak dobrze, że niczego więcej nie pragnął...

Siostra, spojrzawszy nań swemi dobrotliwemi oczami, które napełniły się łzami, szeptała:

„Ojcze nasz, który jesteś w niebie".

Pogrążył się w wspomnieniach, jakiś blask i spokój rozlał się na jego bladej i zmizerowanej twarzy. Widział swą młodość, promienną młodość, pełną szczęścia, bez troski... przy boku ukochanej matki i ojca... przeżywał te chwile pełne szczęścia... Wkońcu śmierć ojca a wkrótce i matki... Zmieniło się wszystko... Nastały dnie rewolucji rosyjskiej... on sam im pomagał — oddał cały majątek na cele rewolucji, gdyż w niej widział zbawienie ludu rosyjskiego... wreszcie to rozczarowanie... nie mógł tego znieść... powiedział im prawdę w oczy — musiał uciekać... tułaczka, głód, nędza... wreszcie choroba, szpital...

Tak myślał biedny emigrant rosyjski, na łożu boleści i jęk dobył się z jego piersi skołatanej z głębokim szlochem.

Tylko wiatr zawodził żałośnie i z jakiemś skowytem dzikim bił piaskiem i liśćmi w okna, szarpał niemi jakby je chciał wyrwać i dostać się do wnętrza, pohulać, potańczyć, poprzewracać wszystko i z powrotem wypaść w ciemne ulice i bulwary.

Księżyc schował się za chmury. Zegary zaczęły zwolna wydzwaniać godzinę dwunastą, a echo jakoś ją szyderczo powtarzało, jakoś niesamowicie...

Zdawało się, że zasnął, oddech jego stał się więcej regularny i jakiś spokój nim owładnął, uśmiech zajaśniał na jego twarzy...

Modlitwa płynęła nad głową umierającego, jak ukojenie, jak pociecha jedyna...

„Święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje".

Naraz drgnął, otworzył oczy, spojrzał nieruchomo przed siebie i wyszeptał:

— Już idą po mnie... już... siostrzyczko ja już... już muszę odejść...

Zamknął znów oczy, uspokoił się, jakby już zniechęcony tem życiem...

Siostra patrzała na to biedne ciało sponiewieranego człowieka, który nie miał już nikogo bliskiego na tej ziemi, który zniósł tyle cierpień, tyle doznał zawodu w życiu — aż oto znalazł się u mety swego życia... I łzy płynęły z jej cichych dobrych oczu.

„Jako w niebie tak i na ziemi" — szeptała.

Księżyc jeszcze raz spojrzał do okna, jakby się chciał przekonać czy się coś nie zmieniło — a widząc umierającego, z żalu schował się za ciężkie chmury. A wiatr potrząsał nagiemi konarami, jakby wygrażał wszystkiemu, co żyje.

Naraz otworzył szeroko oczy, ręce wyciągnął przed siebie...

— Jezu mój... ratuj!... — zawołał słabym głosem i wyprostował się, a głowa opadła mu na poduszki...

„Ale nas zbaw ode złego" — szeptała siostra.

Wicher wył nieustannie, ciemność zaległa, a krople deszczu poczęły wydzwaniać o szyby.

Siostra pochyliła się nad nim — życie ludzkie już uleciało...

„Amen" — wyszeptała.

Zamknęła mu powieki, ręce złożyła na piersiach. Uklękła, zanosząc prośbę do Stwórcy za tę biedną duszę skołataną.

„Wieczne odpoczywanie racz im też dać Panie".

Zegary wydzwaniały godzinę pierwszą, a wiatr ją dziko roznosił po ciemnych ulicach, po polach — aż utonęła w wilgociach nocy. *Michał Kempys.*

Zbójeckie siedlisko.



Wśród puszczy leśnej, daleko poza wsią widne były zwaliska jakiegoś starego zamczyska. Od niepamiętnych czasów nikt się tam zbliżyć nocą nie śmiał, gdyż nie chciał zbyć się przy tej okazji miłego żywota. A nawet w dzień nie wielu było odważnych, aby bez drżenia serca mogli byli przechodzić w pobliżu ponurych ruin.

Coprawda w dzień ruiny te nie były znów tak straszne. Przekonali się o tem trzej najodważniejsi chłopacy wioskowi, kiedy pewnego razu ze święconą wodą w jednej, a potężnymi kołami w drugiej ręce udali się na zwiedzenie ponurych ruin, zobaczyli bowiem tylko kupę zmurszałych murów, wśród których przesmykały się jaszczurki, skakały żaby, a w zagłębieniach gnieździło się ptactwo leśne. Gorzej jednak było w nocy. Nie dość, że z pośród murów wydobywały się jakieś niesamowite głosy, ale zdarzało się często, że poprzez powybijane okna przedostawały się jasne promienie światła, rzucające białe smugi na najbliższe drzewa i krzewy. Wierzono więc, że nocami urządzają tam swoje stypy zbójnicy, jakich podobno w najbliższej okolicy nie brak było, albo też mają tam schadzki potworne czarownice, albo nawet, co gorsza, w zwaliskach tych obrał sobie siedlisko sam djabeł, który spogląda swojemi czarciemi ślipiami przez otwory, które dawniej okna stanowiły.

Jak tam było, nikt zbadać nie potrafił. Większość jednak wierzyła, że owe straszne ruiny są siedzibą zbójników, dlatego też nadano im nazwę „Zbójnickiego siedliska".

A jednak zagadkę owych ruin wkońcu rozwiązano. A stało się to tak: Nim jednak opowiemy, jak się to stało, musimy zaznaczyć, że syn wójta z owej wioski kończył nauki w Krakowie. Po ukończeniu ich i zdaniu wszystkich egzaminów przyjechał do rodzinnej wioski, aby nieco odpocząć. W urodnym i eleganckim chłopaku zakochała się z miejsca najpiękniejsza dziewczyna tamtejsza, Halka, która poza młodym Jankiem nikogo więcej nie widziała. W niej zaś kochał się na zabój syn wójtowego sąsiada, Marcin. Był to więc taki trójkąt miłosny, o którym jednak sami zainteresowani nic nie wiedzieli, gdyż jeszcze do żadnych zwierzeń pomiędzy nimi nie przyszło.

Otóż Janek ów, przyjechawszy na odpoczynek do rodzinnej wsi, zasłyszał opowiadanie o owych strasznych ruinach. Wyśmiał się z nich, gdyż o zbójnikach od lat kilku nikt tu w tej okolicy nie słyszał, a on w czarownice, ani djabły nie wierzył. Ponieważ jednak ci, którzy mu o tem opowiadali, zapewniali go o nadzwyczajnościach, jakie się tam dzieją, postanowił ich przekonać, że nie mają słuszności, a na dowód powiedział, że w nocy uda się tam sam i powróci nienaruszony.

Łatwo to było powiedzieć, ale trudniej wykonać, gdy to bowiem usłyszała Halinka, poczęła go błagać, aby zaniechał niebezpiecznego zamiaru, a jeżeli nie, to ona z nim pójdzie i gdy zginąć przyjdzie, zginie z nim razem.

Janek, jakkolwiek nie obawiał się żadnego niebezpieczeństwa, nie chciał jednak zgodzić się na towarzystwo dziewczyny, aby nie psuć jej reputacji, chyba tylko pod jednym warunkiem, że jeszcze ktoś trzeci będzie im towarzyszył. Wówczas wystąpił ów trzeci z trójkąta miłosnego, Marcin. I jakkolwiek drżał ze strachu na samą myśl o tej niebezpiecznej wyprawie, oświadczył gotowość towarzyszenia im z powodu jeszcze większej obawy o serce umiłowanej dziewczyny.

Noc była jasna księżycowa, wśród zarośli ku tajemniczym ruinom posuwała się trójka naszych znajomych. Już zdala zobaczyli blask, wydobywający się z okien zwalonego zamczyska, a gdy się doń zbliżyli, wewnątrz dał się słyszeć jakiś niesamowity szum, pisk i krzyk tak, że aż Marcin przysiadł ze strachu na ziemi, a Halinka przyczepiła się do boku Janka. Ten jednak szedł z uśmiechem na ustach, póki nie weszli w samo siedlisko owych osławionych strasznych potworów.

I cóż się okazało? Oto owo światło, wydobywające się z okien zamczyska nie było niczem innem tylko światłem księżyca, przedostającem się przez otwory powybijanych okien, a owe krzyki i piski były głosami sów i innych stworzeń, które sobie tam obrały siedlisko, a teraz wypłoszone uciekały przed możliwem niebezpieczeństwem.

Tak tedy dzięki odwadze i rozumowi jednego młodzieńca, cała legenda zamczyska skończyła się raz na zawsze.



Nima nic głupsiejsego na świecie, jak głupota ludzka. Jakby nie było głupoty na całej ziemi, to nie byłoby i ludzi głupich, a jakby nie było ludzi głupich, to nie miałby kto źle robić, a jakby nikt nic źle nie robił, to byłoby samo dobrze. Ale ze jest głupota na świecie, więc są i głupi ludzie, a ci głupi nie umią dobrze robić, ino źle, przeto jest bida nietylko w całym kraju, ale i na całym świecie.

Bo powiedzcie ino sami, cy mądry człowiek kiedy się upije? Broń Boże, nigdy, boć wie on dokumentnie, ze pijak to gorsiejse bydle od prosięcia, jako ze prosię ino wtedy lizie w błoto, jak mu gorąco, a głupi człowiek nawet i w zimie się w niem nurza.

Mądry człowiek kradł nie będzie, bo wie, ze go siandar za kradzież do kreminału na rekolekcyje zabierze, a choćby go nawet nie zabrał, to wie, ze kradziez jest grzychem jak choroba i ze dopóty ten grzych nie będzie odpuscony, póki wziątek nie będzie zwrócony. A mądry człowiek wie, ze łacwiej jest ukraść, jak skradzioną rzec zwrócić.

Mądry człowiek nie będzie mordował, bo wie, ze choćby go ziemska sprawiedliwość w swoje łapy nie chyciła, to lucyper w piekle la niego juz smołę w baniacku gotuje. Wiadomo przecie, że w piekle mordercy bez cały dzień nic inksego do zarcia nie dostają, ino samą roztopioną smołę. To mozna im ino na pociesenie powiedzieć, ze djabli tej smoły jem nie załują, bo co pół godzinki wliwają jem do pascęki po dobrej chochli roztopionej smoły.

Mądry człowiek nie będzie się z drugiemi swarzył, bo wie, ze se ino gębę na bezdurno zedrze, a głupiego i upartego nie przekona. Ze swarzenia się zadna z pyskujących stron ni ma najmniejsego pozytku.

Mądry człowiek do cudzej kubity uśmiechał się nie będzie, bo wie, ze mu z tego nic nie przyjdzie, oskominy se na bezdurno narobi, jesce od jej chłopa moze co oberwać.

Poniewaz bardzo duzo ludzi na świecie ma bardzo duzo różnych przywarów, a bez przywarów prawie ich niema, latego tez jest bardzo dużo ludzi głupich na tej Boskiej ziemi, a o mądrych tak trudno.

Ale gadaj tu ludziom: „Nie kradnij!" — „nie zabijaj!" — to cię nie usłuchają, bo i jakzeby cię usłuchali, kiedy samego Pana Jezusa nie usłuchali. Poniezus dał ludziom na Babiej Górze przykazania, aby wiedzieli, cego nie trza robić, aby być mądrym i ludzie, gdyby byli mądrzy, toby Go słuchali i źle nie robili.

A mnie się przecie widzi, ze Poniezus o jednem przykazaniu zapomniał, albo go umyślnie nie wydał, aby ludzi na tym świecie ukarać. Powinnoby ono brzmieć: „Nie zeń się!" Wiadomo przecie, ze sama zeniacka jest słodziuśka, ale skutki jej są strasne. Zalicanie się do dzieuchy, wiadomo, ze jest milusieńkie, ale trwa ono krótko i potem go nima. Wesele po jednym lub dwóch dniach kończy się i nigdy nie powraca. Miodowe miesiące wteraźniejsych czasach trwają po najwięksej części przez kilka dni, póki tatusiowie przyobiecanej jałówki nie odstawią, a utrapienie małżeńskie trwa na wieki wieków amen! Ani jednej, ani drugiej stronie nie jest tak, jak se przed weselem myślała. Niezeniaty człowiek bowiem cudzą babę usanuje, jak się mu ino da, choćby to nie wiedzieć jakie ścirwo było, a jak się swojej odrwie, to jej za stworzenie Boskie ni ma i nieraz poniewiera, jaz zaponiewiera. A i niejedna baba, choć ma swojego śturkaca, ze palce lizać, to za inksemi ślipiami strzyla, bo się jej cudzy chłop lepiej podoba i koniec.

Ja, jakbym swoją babę, Boże broń, miał, tobym ją tak obsyrmował, jazby piscała z radości, a gdyby mi się nawet inksa uwidziała, tobym nigdy tej inksej tak bardzo nie miłował, jak swoją rodzącą kubitę. Ale mi pono nie było jesce pisane, zebym ja, bidny chudziacek, swoją młodzieńcość niewinną tak prędto se zmarnował, bez to chodzę se wolny i ino na cudze baby z miłosierdziem spoziram. Ale niektam! Przyjdzie i na mnie kolej, ze się tych smakołyków naćkam, a tymcasem niech se tam inksi tej scęśliwości małżeńskiej uzywają, póki się im woda usami ciurkiem nie puści. Mnie się nie spiesy, bo iwem, ze śmierć i zona od Boga przeznacona, to mnie ani jedno, ani drugie nie minie, a jak nie dostanę baby na tym świecie, to mi ta Poniezus na tamtem choć jaką przechodzowaną zostawi.



Wskaż nam tę drogę!...

Wskaż nam tę drogę, o Panie mój,
Co wiedzie zawsze przez szczęścia zdrój,
Przez szczęścia zdroje, pod stopy Twoje,
O Panie mój!

Wskaż nam tę drogę, o Panie mój,
Co wiedzie prosto przed ołtarz Twój,
Przez ciernie, głogi i przez Twe wrogi,
O Panie mój!

Wskaż nam tę drogę, o Panie mój,
Co kroczy po niej dusz ludzkich rój
W obłędnym szale w Twe szczęścia dale,
O Panie mój!

Władysław Furmanek.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Afryka I.

Ponieważ u nas w Polsce zaczyna być nieco zimno i mróz włazi pod ubrania, aby się tam trochę zagrzać, przeto udamy się na pewien czas w okolice,



Karawana murzyńska z kością słoniową.

w których mróz i zimno są nieznane. A do takich należy cała Afryka.

Jak wiadomo, Afryka leży na południe od Europy, poza morzem Śródziemnem, które oblewa kraje europejskie, jak Hiszpanja, Włochy, Jugosławja i Grecja. Jest ona trzy razy większa od Europy, choć dwa razy mniej zaludniona. Południowa połowa kraju jest wyżyną bardzo gorącą, a że jest wilgotną, więc porosła gęstą puszczą lasów. Na północy i samem południu rozciągają się dwie pustynie, z których zwłaszcza północna Sahara jest i bardzo rozległa i pozbawiona szaty roślinnej. W suchej Afryce są wprawdzie wielkie rzeki, ale jest ich bardzo mało i albo dlatego, że często wysychają, albo, że spadają w wodospadach, nie są spławne. Największe rzeki są: Nil, który wypływa w środku Afryki z jeziora Wiktorja, tak wielkiego, jak cała Małopolska — nad nim leży żyzny Egipt; rzeka Kongo przepływa z licznymi dopływami przez gęstą puszczę, wreszcie Niger, rozlewający się na zachód od Sahary w posiadłościach francuskich.

Lud, zamieszkujący Afrykę, t. j. Murzyni o czar-



Misjonarze wśród dzieci murzyńskich

nej barwie skóry, jest bardzo dziki i niedołężny, to też wybrzeża Afryki zajęły państwa europejskie: Anglja, Francja i Włochy, by hodować palmę oliwną, kokosową, daktyle, kawę, kakao, tytoń i korzenie, by polować na słonie dla cennej kości, hodować strusie dla piór, wydobywać z gór złoto i drogie kamienie.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie karawanę murzyńską z kością słoniową. Trzeba tu zaznaczyć, że karawana ta składa się nie z dzikich murzynów, ale z takich, którzy już pod wpływem cywilizacji europejskiej zostali nieco, że tak powiemy, podgładzeni, wskutek czego chętnie pomagają Europejczykom, otrzymując w zamian od nich pewne wynagrodzenie.

I jeżeli wśród murzynów mamy już dzisiaj wielu takich, którzy porzucili swoje barbarzyńskie zwyczaje, którzy nie kryją się po lasach na widok ludzi białych i nie czyhają na każdym kroku na ich życie, to wielka zasługa w tem księży misjonarzy, którzy niepomni na trudy i własne bezpieczeństwo, zapuszczają się w najdziksze okolice, docierają do siedzib murzyńskich i tam głoszą im nietylko słowo Boże, ale i wszczepiają kulturę ogólnoludzką, uczą ich być ludźmi, a nie bydlętami. Nim jednak ten i ów utrzyma się w jakiejś okolicy, nim tam założy stację misyjną, to niejednokrotnie wielu jego poprzedników życiem przepłaca swą odwagę i chęć służenia sprawie Bożej.

Na naszym drugim obrazku widzimy właśnie takich dwóch księży misjonarzy, otoczonych gromadką dzieci murzyńskich. Garnie się to biedne maleństwo do swych opiekunów i nauczycieli z całą ufnością, bo wie, że ci brodaci mężowie mają dla tych maleństw tylko słowa przyjazne, a jeżeli nawet karcą niekiedy, to tak, że nawet to małe murzyniątko odczuwa, że karcenie to wypływa z troski ich opiekuna o ich dobro.

Nie znaczy to jednak, aby misjonarze w takiej opanowanej już przez nich wiosce murzyńskiej byli zupełnie bezpieczni. Oto zdarzy się czasem, że na wieś, która już pozornie pozbyła się swej dzikości, spadnie jakaś klęska żywiołowa. Wówczas znajdzie się zawsze jakiś zły człowiek wśród murzynów, który rzuci podejrzenie, że klęskę ową spowodowali zakonnicy. Biada im więc, jeżeli nie zdołają wczas ujść i nie przeczekają gdzieś w odludnem miejscu, aż niebezpieczeństwo przeminie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnica spowiedzi.

Okropne zdarzenie z niedawnych czasów.

Mój Boże! czyliż za zbrodnię jednego kapłana — a wiadomo czytelnikom, że ksiądz Walenty był niewinnym — mają wszyscy kapłani odpowiadać?

Smutne dla katolików nastąpiły czasy, a jeszcze smutniejsze dla kapłanów. Ani w oberżach, ani w podróży nie mieli spokoju przed innowiercami; zaczepiano ich wszędzie, szyderczo o zbrodni rozprawiając.

Sprawa księdza Walentego była zarazem wielkim ciosem dla sprawy katolickiej, ponieważ za kilka tygodni miały się rozpocząć wybory do sejmu, a stronnictwo przeciwne korzystając ze sposobności, bez litości uderzało na duchowieństwo i wiernych katolików.

Któż dobierze słów, aby opisać smutne położenie nieszczęśliwego w więzieniu kapłana Walentego, pod najostrzejszą strażą trzymanego; nikomu, nawet żadnemu kapłanowi, nie było wolno odwiedzać jego celi. Najwięcej dziwiła sędziów i dozorców niezachwiana spokojność ducha i cierpliwe znoszenie przykrości więziennych.

Sąd miasta powiatowego składał się z liberalistów, którzy się z początku surowo obchodzili z oskarżonym, a jednak w krótkim czasie wiedział ich sobie ująć ksiądz Walenty swą łagodnością i dziwną powagą w odpowiedziach i postępowaniu.

Już po piąty raz był na przesłuchach, najprzykrzejszy termin był ostatni, na którym stanął przeciw niemu wójt Rossa, świadcząc, że zamordowany Brand musiał mieć przy sobie przynajmniej dwadzieścia tysięcy franków, ponieważ traktując z nim o kupno Lagen, oświadczał gotowość natychmiastowego zapłacenia całej sumy kupna.

— Czy pan widziałeś u Branda ową paczkę, którąśmy znaleźli u księdza proboszcza? — zapytał

Na to odpowiada Rossa: Mogę z pewnością zeznać, że paczkę znalezioną na plebanji widziałem w ręku Branda, bo ją przed mojemi oczami wyjął z kieszeni, chociaż jej nie rozwinął, ponieważeśmy się nie zgodzili.

— Po czem pan ją poznałeś?

— Po czerwonej tasiemce, którą była obwiązana.

— Cóż ksiądz na to odpowiada?

— Mój przyjaciel Brand — odparł ksiądz — odchodząc odemnie do pana Rossy, oddał mi paczkę u mnie znalezioną, prosząc o schowanie jej, com chętnie uczynił; pozostała w mojem biurze nienaruszona, aż ją prześwietny Sąd stamtąd wydobył. Powiadał mi przytem Brand, że z sobą bierze tylko cztery tysiące franków, niby na zadatek, które schował do skórzanego pugilaresu.

— Panie Rossa, czy pan widziałeś skórzany pugilares u Branda?

— Nie widziałem żadnego pugilaresu, lecz tylko paczkę, znalezioną u księdza proboszcza.

— Pan złożysz na to przysięgę?

— Owszem.

Słowa Rossy przejęły księdza Walentego niewypowiedzianą trwogą; drżąc na całem ciele, upadł na ławę za kratką stojącą.

Sędzia, spostrzegłszy bladość twarzy i widoczne zamieszanie oskarżonego, pyta się: — Cóż księdza tak zmieszało?

Zeznanie pana Rossy!

— Widzi ksiądz, że mu nic nie pomogą żadne wykręty! Oczekuję szczerego przyznania się do winy!

Na to wezwanie sędziego zerwał się ksiądz Walenty z ławy, krew uderzyła mu do głowy i oburzenie zarumieniło twarz:

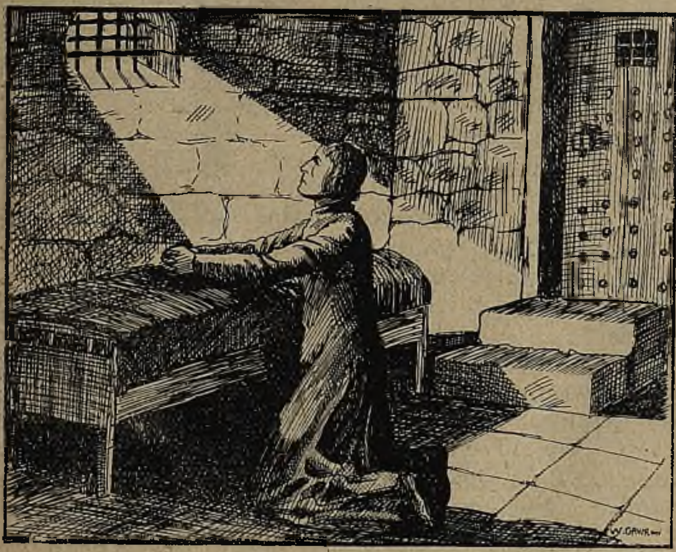
— Panie sędzio, do winy się przyznać nie mogę, ponieważ jestem niewinny, lecz truchleję na oświadczenie pana Rossy, że on się nie lęka fałszywego świadectwa ani krzywoprzysięstwa.

— Świadek jest nieposzlakowanego charakteru; sąd mu wierzy więcej, niżeli oskarżonemu, chyba, że ksiądz nam poda dowody, któreby sąd o fałszywem świadectwie przekonały.

— Niech mi ksiądz dowiedzie, że nieprawdę mówiłem! — rzekł Rossa z szyderczym uśmiechem, obracając się do księdza Walentego.

— Bóg jest świadkiem i czasu swego objawi Swoją sprawiedliwość, jeżeli nie rychlej, to pewnie w godzinę śmierci! niech o tem pamięta! — zawołał donioslym głosem pobożny kapłan, wskazując ręką w niebo.

Zadrżał Rossa i sinawa bladość oszpeciła twarz jego; zamilkł na chwilę, a sędzia z uszanowaniem



Upadł na kolana i zatopił się w modlitwie...

wpatrzył się w kapłana, podobnego do jednego z starozakonnych proroków. Chwila ta przekonała sędziego o niewinności oskarżonego, lecz cóż miał robić?

Podług obowiązku odebrał od Rosyy przysięgę, a księdza Walentego kazał odprowadzić do więzienia.

Powróciwszy do swej celi, upadł ksiądz Walenty przy swem krześle na kolana i zatopił się głęboko w modlitwie.

Widział on przed sobą niechybną śmierć, na którą go sąd skaże; widział tysiące ciekawych widzów, jak się około rusztowania zgromadzają, widział kata w czerwonym płaszczu z gołym mieczem na niego czekającego. Żal i trwoga ściskały serce, gdy pomyślał o tem, jak przeciwnicy Kościoła katolickiego najokropniejsze wieści po całym świecie o nim rozsiewać będą. A jednak, jak czytelnikom wiadomo, był ksiądz Walenty zupełnie niewinnym.

Mógł się uwolnić z więzienia, bo potrzebował tylko wyznać sędziemu, że Brand został zabitym przez Józefa Witka. Innemu człowiekowi było to wolno, lecz nie księdzu Walentemu, którego usta krępował sekret Spowiedzi świętej.

Prawda, że ksiądz Walenty mógł przed sądem wyznać, iż powracając od umierającej Witkowej, widział Józefa obok zamordowanego Branda i nawet w jego kieszeniach coś szukającego, lecz uważał, że mu to teraz nic nie pomoże, kiedy tego nie wyznał w pierwszej chwili i przy pierwszem śledztwie.

Wtedy sądził, że mu nie wolno jawnie posądzać Józefa o zabójstwo, ponieważ mu to wyznał na spowiedzi; teraz przy chłodniejszem rozważaniu poznał swój błąd, bo mu wolno było świadczyć o tem, co widział na własne oczy przed spowiedzią, a o spowiedzi nie potrzebował wspominać; lecz obawiając się przytem, że późniejsze wyznanie uważaliby sędziowie za nowe wykręty, wolał więc milczeć i niewinnie umierać.

(Dokończenie nastąpi).

ŚMIERĆ.

Z cyklu: „Rewolucja w Rosji".
(Obrazek).

Wieczór zapadał. Ostatnie promienie zachodzącego słońca oblewały purpurą ziemię i bladły coraz bardziej. Nareszcie słońce skryło się gdzieś hen — daleko, na zachodzie i szary mrok począł otaczać ramionami swemi okolicę. Ptactwo stadami ciągnąć poczęło do miejsca spoczynku. Wrony szczególnie z krakaniem obsiadały konary pobliskiego drzewa, kłócąc się przytem o lepsze miejsca. Bydło powracało z pastwisk i porykując, spieszyło do obór. Pastuszkowie gwarzyli wesoło, popędzając krówki trzaskaniem biczy.

Po chwili jednak i ich głosy umilkły, czasem tylko zaszczekał gdzieś radośnie pies spuszczony z uwięzi. Wreszcie wszystko ucichło... Żaby w pobliskich stawach poczęły zwolna gromadzić się w grupy na koncert wieczorny. Rehotanie ich harmonijne, przerywane było czasem jakimś głosem pojedynczym, po którym znów następowały czyste, pełne uroku akordy. W pobliskich zaroślach odezwał się też dźwięcznym głosem słowik. Trele jego pełne radości, płynęły hen daleko po rosie... On zaś śpiewał i marzył...

Nieopodal lasu, będącego niejako granicą, między zdala widniejącą wsią Białoglinką, a wielkim obszarem pól, roztoczył się obóz „białogwardzistów". Zmęczeni ciągłym ukrywaniem się po lasach i jarach niedostępnych, wyszli z lasu na polanę, w liczbie 80, na odpoczynek. Wychudzeni, przemęczeni wędrówkami i bitwami, ochoczo rozłożyli się na trawie, ciała ich odczuły wkrótce błogie uczucie spoczynku. Opanowała wszystkich senność... lecz baczny na wszystko dowódca Grzegorz Tiulpanow, „Sokołem" za swój bystry wzrok i spryt zwany, spostrzegł, na co się zanosi. Przez jego zawsze świeży i pełen różnych pomysłów umysł, przemknęła z szybkością błyskawicy straszna myśl... gdy pozwolę im zasnąć, to wszyscy zginiemy, grozi nam niechybna śmierć... Tak śmierć i to gdzie, na wytchnieniu, po tylu bitwach i trudach...

— Nie, do tego ja nigdy nie dopuszczę — pomyślał „Sokół" i odchyliwszy płótno namiotu, wyszedł pospiesznie rozejrzeć się po obozie.

Obóz rozłożony na tle lasu, miał przy świetle księżyca malowniczy wygląd. Gdzieniegdzie trzeszczał wesoło ogień, lub słychać było ożywioną rozmowę. Reszta „białych" posilała się, czem kto miał i układała się do snu. Grzegorz więc przyszedł w porę. Spojrzał na obóz i jakaś nieznana mu siła, jakby mu mówiła: „wydaj rozkaz alarmu i bądź w pogotowiu". Tak, to przeczucie niebezpieczeństwa, które i tym razem miał Tiulpanow, jeszcze nigdy go nie zawiodło. Przywołał więc opodal drzemiącego Krukowa i wydał rozkaz zrobienia zbiórki, tylko bez szmerów.

Wkrótce w obozie zawrzało jak w ulu. Chociaż zmęczonym i wyczerpanym „białogwardzistom" przykro było opuszczać legowiska, lecz rozkaz jest świętym, mówiono, wkrótce więc wszyscy byli gotowi. Pogaszono ognie, przygotowano broń i oddział był w pogotowiu. „Sokół" szybkim krokiem przeszedł między „białą" bracią i kiwnąwszy z zadowolenia głową, odszedł z Krukowem na ubocze, gdzie długo o czemś rozprawiali.

Krukow, adjutant Grzegorza, był niegdyś leśniczym, obecnie więc, szczególnie w lasach, był bardzo pomocny wodzowi.

— Bo chociaż wy panoczku i w szkole kadeckiej byli, to jednak tajniki lasów poznać, to trzeba długo praktykować — mówił nieraz „Sokołowi" Krukow.

— Właśnie i teraz, o ile się nie mylę, znowu jesteśmy w znanym mi lesie. Tam na północ powinno być jezioro, a dalej droga, wiodąca do młodego, niedostępnego zagajniku.

— To dobrze się składa — rzekł uradowany Tiulpanow — gdyż obecnie mamy twardy orzech do zgryzienia.

To powiedziawszy, wyjął z zanadrza zwitek papieru i przy świetle księżyca odczytał co następuje:

„Towarzysze! Kto wskaże lub wyjawi tajemnicę, gdzie się znajduje oddział 80 „kontrrewolucjonistów", pod wodzą Grzegorza Tiulpanowa, otrzyma 1000 rubli nagrody. Komisarz Czerezwyczajki w Petersburgu".

Krukow zaśmiał się szyderczo.

— To „czerwoni" tak na nas czyhają, a nawet nagrodę obiecują, ano zobaczymy, kto kogo w pole wyprowadzi...

Drogą wiodącą od wsi Białoglinki do lasu, jechał oddział „czerwonej" kawalerji, w sile 200 koni. Dowódca z wielką czerwoną kokardą na piersiach i mnóstwem krzyży i medali, otrzymanych za „waleczność", pogwizdywał wesoło i wtrąciwszy od czasu do czasu jakiś żart do swoich „czerwonych" towarzyszy, jechał dalej. Był wesół. Cóż go więcej obchodziło w tej chwili. Tyle zwycięstw, tyle przygód i niebezpieczeństw „człowiek" miał, a „kontrrewolucjonistów" nie wykryje. Muszą tego dokonać, postanowił sobie w duchu i naprzód obliczał zaszczyty i nagrody, jakie go czekają, gdy wykryje oddział Tiulpanowa.

— Skończy się wtedy moja tułaczka, zebrało się już trochę grosza, a jeszcze gdy nagrodę dadzą, to „człowiek" może już spokojnie żyć i nie bać się starości...

Zamyślony „czerwony" wódz nie spostrzegł nawet, że już znajdował się z oddziałem w lesie. Las wywarł na bolszewickim wodzu jakieś dziwne wrażenie, coś czuł się nieswojo. Lecz to „przywidzenie" — uspakajał się i jechał dalej, choć ciągle coś go dręczyło.

Mniej więcej w połowie lasu, gdy bolszewicy dojeżdżali do węższej leśnej drożny, rozległ się jakiś trzask i wkrótce z łoskotem runęło, o kilkanaście metrów przed wodzem, olbrzymie drzewo. Bolszewicy skamienieli. Co to mogło być, przypadek czy zasadzka? Kilkunastu z nich zsiadło z koni i podeszło do drzewa, lecz zanim zdążyli się dobrze przypatrzeć, co spowodowało jego upadek, rozległa się celna salwa kilkudziesięciu karabinowych strzałów. Około 40 czerwonych padło trupem. Konie spłoszone nagłą strzelaniną, poczęły stawać dęba i pędzić naoślep między drzewa. Wielu bolszewików zostało potratowanych przez własne wierzchowce. Dowódca bolszewicki nakazał odwrót, lecz ciągłe strzały nieprzyjaciela zrobiły taki nieład, że nie mógł w żaden sposób uformować oddziału.

„Sokół" i adjutant rozstawili tak swój oddział, że odwrót „czerwonych" był możliwy tylko w stronę jeziora. Bolszewicy więc byli wmatni. Przy każdych celnych strzałach Krukow zacierał z zadowolenia ręce i z okrzykiem: „To wam nagroda", wydawał nowe rozkazy.

Po godzinnej walce, zdziesiątkowany oddział bolszewicki poddał się. „Sokół" zażądał zgłoszenia spieszyli z ciekawością do obozu. Zebrali się wresię wodza, lecz ten postanowił się zemścić. Gdy więc wszyscy szukali go wzrokiem, ukryty za drzewem wymierzył z karabinu do Krukowa, gdyż go uważał za wodza i strzelił, lecz kula minęła adjutanta i trafiła Tiulpanowa, który z zakrwawioną głową runął na murawę. Grupa „białych", otaczająca wodza, rzuciła się w pogoń za bolszewikiem, który co tchu uciekał w stronę wioski. Gęsto rozstawieni w tem miejscu „białogwardziści", spostrzegłszy uciekiniera, dali salwę i wódz bolszewicki przeszyty kilku kulami, zesunął się martwy z konia.

Krukow, na rozkaz umierającego wodza, wydał polecenie zgromadzenia wszystkich „białych". Wkrótce więc rozległ się głos trąbki, wzywającej „do wodza". Niektórzy „białogwardziści", nie wiedząc o co właściwie chodzi, gdyż strzały dawno już umilkły, szcie wszyscy i na widok umieorającego, broczącego krwią „Sokoła", rzucili się na „czerwonych" jeńców. Z oczami nabiegłemi krwią, poczęli strzelać bolszewików, i byliby ich wystrzelali wszystkich, gdyby nie wódz.

— Nie zabijajcie ich... niech Bóg im przebaczy... oni niewinni... — szeptał ledwo dosłyszalnym głosem Tiulpanow. — Pamiętajcie o tem... na przyszłość... Nie przelewajcie nigdy... lekkomyślnie bratniej krwi... a Bóg wam to policzy... Żegnajcie więc chłopcy... Następcą moim mianuję Kruk...

Nie dokończył, gdyż dostał wybuchu krwi i stracił przytomność. Po chwili ocucono go wodą. Niektórzy jeńcy bolszewiccy mieli w oczach łzy i narówni z „białymi" ratowali „wroga". „Sokół", odzyskawszy przytomność, przywołał do siebie Krukowa, poprosił o kawałek kartki i chciał pisać, lecz ręka odmówiła mu posłuszeństwa. Widząc to Krukow, wziął od wodza papier i począł pisać słowa, dyktowane przez dogorywającego „Sokoła..."

Droga Mamo...

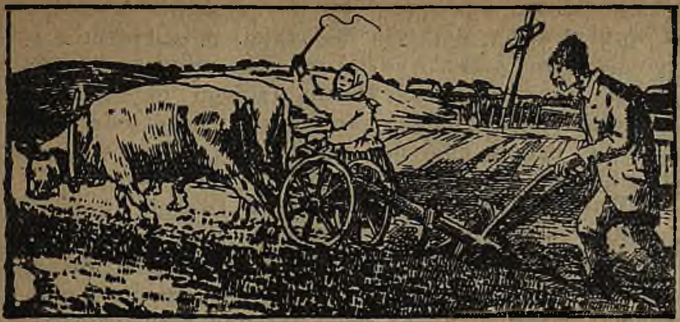
Wieść, którą Ci doręczy... mój adjutant... niech Cię nie smuci... Tak widocznie... być musiało... Smuci mnie tylko to... że dziś znowu... musieliśmy przelewać bratnią krew... Ale to wszystko... dla Ojczyzny... Tak Mamo... Ojciec również zginął... dla naszej świętej ziemi, karmicielki... A teraz... przyszła kolej... na mnie... Wiem... że dotknie Cię ten cios... lecz miej nadzieję... że krew... przelana dla Ojczyzny... nie pójdzie na marne... Cieszę się... że wkrótce... zobaczę Ojca... Tak chciałbym... być teraz w domu... i zobaczyć Cię... Droga Mateczko... Kończę jednak... gdyż...

Tu krew buchnęła gwałtownie z ust i nosa, Grzegorz już nie mówił. Cucono go wprawdzie, lecz wszelkie zabiegi nie odniosły żadnego skutku. Chciał znowu coś mówić, lecz zamiast głosu, z ust jego wydobył się tylko chrapliwy jęk i krew poczęła się sączyć coraz gwałtowniej. Ostatnim wysiłkiem chwycił za krzyżyk wiszący na szyi, ucałował go, spojrzał na otaczających go „białych" i ręka trzymająca krzyżyk, zwisła bezwładnie. Dusza Grzegorza Tiulpanowa przeniosła się w zaświaty... Otaczający go „białogwardziści" uklękli, zmówili modlitwę przy zwłokach dowódcy i smutni, odeszli szukać miejsca na mogiłę.

— Taka śmierć czeka nas wszystkich, mówiono, lecz wkońcu przynajmniej następne pokolenia, będą wolne od „czerwonych" tyranów.

Jakże się jednak srodze zawiedli „biali" bohaterowie. W czerwonem piekle wre „praca" ciągle i niewinne ofiary giną masowo, jak dawniej...

Eugenjusz Zdun.



Poradnik gospodarczy.

Racjonalna gnojownia.

Wywózka gnoju na gnojownię odbywa się zwykle codziennie, niekiedy robią to co parę dni. Ze względu na przechowanie obornika, rzadsze wywożenie jest gorsze, bo w cienkiej warstwie powietrze ma łatwiejszy dostęp i przez to ulatnia się najbardziej cenny składnik gnoju — azot.

Dobra racjonalna gnojownia winna posiadać nieprzepuszczalny spód i nie może być zalewana wodą, spływającą z dachów budynków oraz ściekającą z miejsc wyższych. Na gnojownię powinien gospodarz przeznaczać miejsca położone wyżej, zabezpieczone od ścieku, nie wystawione na słońce (bo gnojówka wtedy wysycha i ulatnia się przez szpary amoniak. Najlepiej zakładać gnojownię od strony północnej budynków, obok cienistych drzew. Dołów nie trzeba kopać, racjonalniejsze są gnojownie, zakładane na powierzchni gleby. Najlepszą podłogą będzie glina, zbita grubości około 35 centymetrów i nakryta torfem. Lepszy naturalnie byłby beton, ale jest to podłoga kosztowna.

Większość gnojowni zależna jest od ilości zwierząt, od których nawóz ma być przechowany, następnie od tego, jak go wysoko układamy i jak często w pole wywozimy. Nawóz należy trzymać w wysokiej warstwie, przyczem musi być ciągle i silnie udeptywany. Należy więc bydło i konie przepędzać po gnojowni, jeździć wozami itp. Nawóz trzeba układać na połowie lub czwartej części gnojowni, bowiem chodzi o to, aby wytworzyć większą stertkę. Ukończywszy jedną do półtora metra, robimy drugą stertkę itd.

Według obliczeń, trzeba na nawóz od jednej krowy zbierany w ciągu zimy 6—8 metrów kwadratowych gnojowni. Gdy w zimie możemy wywozić gnój i układać go na wyższe stertki 2—2½ metra, wystarcza wtedy mniejsza powierzchnia gnojowni 2—4 mtr. kwadratowych na sztukę. Ukończoną stertkę dobrze jest nakryć ziemią lub torfem.

Ażeby nawóz nie wysychał, trzeba go polewać gnojówką, odciekającą do zbiornika (300—400 litrów należy liczyć na jedną sztukę). Przy bardzo małych gnojowniach można zrobić zbiornik na gnojówkę z beczek, np. naftowych, wkopanych w ziemię, gnojówkę czerpiemy wiadrem lub używamy pomp. O ile zabraknie gnojówki, a nawóz na gnojowni wysycha, należy zlewać go wodą. Gdy znów przeciwnie, zbiornik napełni się gnojówką, a nawóz nie potrzebuje zlewania, należy ją wywozić wprost na pole lub zlewać nią kupy kompostowe.

Gnojówka, zbierająca się w gnojowni jest o wiele uboższa od gnojówki, która spływa wprost ze stajni, więc nie należy ich łączyć. Gnojówkę ze stajni należy oddzielnie trzymać, łączyć z torfem i używać na łąki, czy pod okopowe lub warzywa. Przed użyciem trzeba dobrze wymieszać torf z ziemią motykami lub broną i rozcieńczyć gnojówkę, bo jest zbyt skoncentrowana.

Gnojówka, zbierająca się w samej gnojowni, jest dużo mniejszej wartości i nie potrzebuje rozcieńczania. Trzeba jej używać 6 do 10 razy więcej niż gnojówki ze stajni. Odpowiednia jest do nawożenia łąk i pastwisk. Nie należy rozlewać gnojówki na rolę zmarzniętą.

Jak poznać psa wściekłego?

Jak wiadomo, wścieklizna jest chorobą straszną, nieuleczalną i zawsze śmiertelną; pojawia się ona tylko u psów, od których przez pokąsanie udziela się innym zwierzętom a także i ludziom.

Najbardziej niebezpieczną jest ta okoliczność, że ślina psa zapadłego na wściekliznę już jest zaraźliwą jeszcze na 8—10 dni przed wystąpieniem u niego jakichkolwiek objawów choroby, a zatem, pies taki nawet przez polizanie już może zarazić człowieka, jeżeli u niego na rękach czy nogach znajdą się zadrapania czy skaleczenia.

Jak poznać psa wściekłego w początkach choroby? Jest to sprawa wielkiej wagi, ponieważ mając pojęcie o najpierwszych objawach czyli symptomatach wścieklizny, można nieraz uchronić od nieszczęścia siebie i drugich. Choroba ta panuje wszędzie i ma postać gwałtowną i postać spokojną.

Przy gwałtownej postaci choroby pies początkowo zaczyna zdradzać ogólną zmianę w usposobieniu, co jest dla badania bardzo ważne, staje się bystrym w oczach, nerwowym, potem robi się nieposłusznym, chowa się po kątach i nie idzie na wołanie. Następnie zauważa się, że robi on głową takie ruchy, jakby chciał muchy łapać, co jest objawem bardzo charakterystycznym.

Na drugi lub trzeci dzień pies staje się już skłonnym do ucieczki, rzuca się i kąsa zwierzęta i ludzi, a nawet i różne przedmioty, głos jego się zmienia, szczeka on dziwnie, niema apetytu do jedzenia, natomiast połyka rzeczy niejadalne, jak drzewo, kamienie i t. p. W końcu występuje paraliż czyli bezwład zadu i dolnej szczęki i pies zdycha, co zwykle następuje na czwarty lub na piąty dzień od wystąpienia najpierwszych objawów choroby.

Przy postaci spokojnej narazie chory pies nie okazuje nic szczególnego, a tylko opisany paraliż zadu i szczęki występuje o wiele wcześniej, pies jest smutny, chodzi z kąta w kąt, głos ma ochrypły, nie rzuca się i nie kąsa, a gdy nastąpi paraliż, to wkrótce zdycha. Wszelkie leczenie jest bezskuteczne i ze względu na niebezpieczeństwo jest surowo zakazane.

Co czynić przy zjawieniu się opisanych objawów? W razie pojawienia się u psa najpierwszych podejrzanych objawów wścieklizny, należy go natychmiast zamknąć lub mocno uwiązać na przeciąg 10 dni i o ile po upływie tego czasu wszystkie objawy zupełnie znikną, można go uważać za zdrowego. O podejrzanym wypadku trzeba zawiadomić policję. Okres ukryty choroby, to jest czas od chwili zarażenia się, aż do chwili wystąpienia, najpierwszych objawów jest następujący: u psa — od 24 godzin do 3 miesięcy, u koni — od 2 tygodni do 12 tygodni, u bydła — od 3 tygodni do 20 tygodni, u świń i owiec — od 2 tygodni do 8 tygodni, u ludzi — od 7 dni do 7 tygodni.

KRONIKA.

Dziwy i figle listopada. Tegoroczny listopad zrobił nem niespodziankę. Był suchy i pogodny- ale zimny. Podobne niespodzianki, dochodzące do anomalji, dzieją się w innych krajach. Oto na północnej półkuli, na której zwykle w tej porze jest już zima, w tym roku zapanowała druga wiosna, zaś na półkuli południowej, dla której listopad jest końcem wiosny a początkiem lata, pojawiły się śniegi i mrozy. W Anglji temperatura listopada była wyższa, niż przeciętna, i to tak, że przed tygodniem zbierano truskawki i poziomki, pod Londynem jabłonie pokryły się pączkami i nawet nowemi listkami, a w Kent zakwitły pierwiosnki i dzikie róże. We Francji również zbierano truskawki w okolicach Paryża, a wiosna, jeszcze bardziej wyraźna, zapanowała w całych prawie Stanach Zjednoczonych, które o tej porze roku żazwyczaj spoczywają pod grubym całunem śniegu. Temperatura dochodziła do 22 stopni Celsjusza ponad zero, nad Niagarą jabłonie kwitną, a w Kentucky i Ohio pojawiły się na targu świeże poziomki i maliny. Ogrodnicy Stanów południowych kłopocą się, w jaki sposób zabezpieczyć przed mrozami drugi zbiór owoców. Natomiast w Nowej Zelandji, zamiast cieszyć się temperaturą letnią, kartofle, pomidory i owoce ucierpiały bardzo od niezwykłych mrozów i śniegu. Taki był listopad, a zdaje się, że podobny będzie i grudzień, t. j. pełen niespodzianek. Oto mróz listopadowy przeciągnął się u nas i na pierwsze dni grudnia, ale nie dochodził nawet do 15 stopni, podczas gdy w Rumunji i Grecji, a więc znacznie od nas na południe dochodził w pierwszych dniach miesiąca do 23 stopni poniżej zera. Mrozowi towarzyszyły tam silne burze, które wyrządziły wielkie szkody.

Pożar w Olszanicy. W Olszanicy koło Krakowa w zabudowaniach dworskich SS Norbertanek w ubiegły czwartek wybuchł wielki pożar. Zapaliła się tam stodoła drewniana, kryta papą, długa na 50 metrów, a szeroka 12 m., wypełniona częściowo zbożem i sianem. Od płonącej stodoły zajęła się opodal stojąca sterta siana i zboża, którą zdołano uratować. Stodoła spłonęła doszczętnie. Szkoda wyrządzona pożarem wynosi 20.000 zł. i była ubezpieczona. Przy gaszeniu pożaru prócz straży krakowskiej, brały udział straże ochotnicze z Olszanicy, Chełmu, Mydlnik, Modlnicy dworu i wsi, Woli Justowskiej, Balic, Bielan i Rząski.

Lekarz znachorem. Są jeszcze u nas tacy ludzie, którzy w razie choroby więcej ufają rozmaitym znachorom, aniżeli lekarzom. To też często się zdarza, że niejeden lekarz klepie biedę, a znachorzy opływają w dostatki. Z głupoty ludzkiej skorzystał niejaki Ferdynand Dolani, który wraz z siostrą osiedlił się niedawno w Borku Wielkim powiatu ropczyckiego. Młody ten człowiek przyjechał z Niemiec, dokąd przed laty wywędrowali jego rodzice, pochodzący z tej właśnie wsi. Rozpoczął on już przed szeregiem miesięcy praktykę znachorską. Opukiwał on pacjentów, a równocześnie swojej siostrze ustnie podawał zlecenia tyczące się wykonania lekarstw. Chory opuszczał gabinet znachora, unosząc dobre rady i lekarstwa, które pomagały. Znachor począł zyskiwać coraz większą sławę i wkrótce dowiedzieli się o tym wypadku lekarze z Ropczyc. Donieśli o tym fakcie do prokuratury, która spowodowała aresztowanie znachora. Jakie było zdziwienie sędziego śledczego, gdy Dolani przedstawił świadectwa ukończonych studjów wydziału medycznego na uniwersytecie w Brukseli. Wypuszczono go więc na wolność. Dr. Dolani i tak jednak nie będzie mógł w Polsce wykonywać legalnej praktyki lekarskiej, mimo posiadania dyplomu lekarskiego. Jak wiadomo bowiem, wymagane jest do uzyskania zezwolenia na wykonywanie praktyki lekarskiej, potwierdzenie obcego dyplomu przez wydział lekarski uniwersytetu polskiego. Dopiero po uzyskaniu takiego potwierdzenia Dr. Dolani będzie mógł, jako lekarz, leczyć ludzi. Lecz, zdaje się, będzie miał mniej pacjentów jako lekarz, niż ich miał jako znachor.

Trup na torze kolejowym. Dróżnik kolejowy Kaszuba, kontrolując tor między Lwowem a Zimną Wodą, natknął się na zwłoki mężczyzny przejechanego przez pociąg. Koła pociągu zmiażdżyły zupełnie głowę denata i przecięły go na pół. Kaszuba natychmiast zawiadomił policję, która przybyła na miejsce wraz z lekarzem. Przy zmarłym znaleziono dokumenty, z których wynikało, że nazywa się Andrzej Ochrymowicz (lat 27) urodzony w Zaleszczykach. Znaleziono przy nim również legitymację politechniki. W toku dochodzeń okazało się, że Ochrymowicz mieszkał w domu swoich rodziców przy ul. Kurkowej 61. Chemję ukończył w ubiegłym roku, jednakże zapisał się na inny wydział politechniki. W ostatnich czasach Ochrymowicz począł zdradzać wielkie zdenerwowanie, które z czasem przeobraziło się u niego w chorobę umysłową. Leczył się u jednego z lwowskich psychjatrów. Choroba nie objawiała się w gwałtownych wybuchach, był stale melancholijny, chodził zasmucony i wiecznie o czemś rozmyślał. W chwilach takiego zamroczenia umysłu nie poznawał otoczenia. W ostatnich dniach stan jego pogorszył się. We wtorek wieczorem Ochrymowicz wyszedł z domu, nie mówiąc nikomu, dokąd idzie. Rodzina niczego nie podejrzewała, często bowiem wychodził on o tej porze na przechadzkę. Od tej pory znikł i dopiero dróżnik kolejowy znalazł jego zwłoki na torze. Prawdopodobnie Ochrymowicz w obawie przed obłędem rzucił się pod pociąg.

Straszliwa eksplozja w Schodnicy. W Schodnicy koło Borysławia wydarzył się wstrząsający wypadek. Do znajdującego się na terytorjum firmy „Gazy ziemne“ zbiornika ropy podszedł z płonącą pochodnią manipulant Daniel Płaskowniak, zamierzając przy pomocy ognia rozmrozić rurociąg ropy. Nastąpiła potężna eksplozja i pożar. Rezerwoar został rozerwany; Płaskowniak, porwany siłą wybuchu, wyrzucony został na wysokość 150 metrów i rozszarpany w kawałki. Zniekształcony tułów znaleziono bez głowy i kończyn w odległości 80 metrów od miejsca katastrofy. Pracujący z denatem robotnik Słucki ocalał cudem.

Śmierć z zaczadzenia. Z Starej Soli piszą nam: Mieszkaniec Starej Soli, żyd Rottenberg, wybudował kamienicę, którą miał zamiar w tych dniach zamieszkać. Nim to jednak uczynił, wynajął sobie dwóch stróżów, a mianowicie Michała Wyszatyckiego i Józefa Monczaka, aby mu pilnowali budynku i przewiezionych tam rzeczy. Ponieważ mróz był silny, więc napalili w piecu najpierw drzewem śliwowem, a potem węglem i położyli się na spoczynek. Następnego dnia rano właściciel, oglądając dom, zauważył drzwi zamknięte. Przy pomocy wezwanych ludzi wywalił drzwi i dostał się do wnętrza bydynku, gdzie zobaczył leżących na słomie obydwóch stróżów, dających już tylko słabe oznaki życia. Przywołany lekarz nie zdołał jednak uratować nieszczęśliwych. Monczak, liczący zaledwie 25 lat życia, pozostawił żonę, natomiast 45 letni Wyszatycki, biedny wyrobnik, był nieżonaty.

Skąpy ojciec i ambitny syn. Z Starej Soli piszą nam: Syn bogatego gospodarza tutejszego, Michał Bachniej, liczący lat 23, ukończył uniwersytet we Lwowie, jako prawnik. W zeszłym tygodniu przyjechał do rodzicielskiego domu i prosił ojca o pieniądze na dokształcenie się. Lecz ojciec odmówił mu, powiadając, że

nie ma pieniędzy, a zresztą już dość wydał na niego i więcej wydawać nie myśli. Wówczas syn zapytał, co teraz ma robić? „Powieś się!“ — odpowiedział ojciec. Ambitny syn, nie namyślając się długo, poszedł na strych i w myśl rady ojca powiesił się na krokwi. Po niejakimś czasie ojciec, przeczuwając coś złego, począł szukać syna i znalazł go wiszącego na strychu. Przywołany lekarz skonstatował tylko śmierć. Można sobie wyobrazić straszną rozpacz ojca po niewczasie za jedynakiem; oddałby teraz cały majątek. aby odzyskać życie syna, lecz, niestety, zapóźno.

Wymordowanie całej rodziny. W Młodowie, oddalonym o dwa kilometry od Lubaczowa, zostało dokonane potworne morderstwo. Wymordowaną tam została przez rabusiów cała rodzina żydowska, składająca się z Abrahama Seifera, jego 55-letniej żony Chany, 22-letniej córki Dory i 17-letniego syna Jakóba. Kiedy rodzina pogrążona była w głębokim śnie, napastnicy przybyli do karczmy w celach rabunkowych. Prawdopodobnie zostali oni przez zbudzoną ze snu rodzinę Seifera rozpoznani i nie chcąc mieć świadków swej zbrodni, po kolei przy pomocy siekier wszystkich czworo wymordowali, poczem dokonali rabunku, zabierając niewielką gotówkę, trochę tytoniu i papierosów oraz garderobę. Zbrodniarze po dokonanym mordzie i rabunku zbiegli, pozostawiając na miejscu dwie siekiery okrwawione, przy pomocy których dokonali potwornej masakry. Dopiero rano sąsiedzi spostrzegli zbrodnię i uwiadomili policję. Gdy funkcjonarjusze policyjni przybyli na miejsce, oczom ich przedstawił się przerażający widok. Zwłoki pomordowanych członków rodziny Seifera leżały rozrzucone w nieładzie po całem mieszkaniu, mając niektóre części całkowicie odrąbane. Podłoga przedstawiała jedną kałużę krwi. Podjęte natychmiastowe dochodzenia dotąd nie dały rezultatu.

Bezrobotny bogacz. W czasie kontroli bezrobotnych, pobierających zasiłki z kasy państwowej, wykryto w Piotrkowie, że od dłuższego czasu na żołdzie bezrobotnych znajdował się również Eugenjusz Król, zamożny kupiec i właściciel wielkiego składu węgla, mającego nawet swą filję. Król pobierał od dłuższego czasu zasiłki, zarejestrowawszy się jako bezrobotny, a nawet posunął swą bezczelność do tego stopnia, że zgłaszał się do miejskiego Wydziału opieki społecznej o zapomogi, przeznaczone dla najbiedniejszych mieszkańców. Pomysłowego oszusta pociągnięto do odpowiedzialności karnej. Gdyby władze dobrze szukały, takich bezrobotnych znalazłoby się zapewne więcej. Zabierają oni pieniądze, przeznaczone dla rzeczywiście potrzebujących.

Bohaterstwo kulawej staruszki. We wsi Nielków w powiecie piotrkowskim, wybuchł pożar w zagrodzie niejakiego Władysława Sobczaka. Pożar, podsycany wiatrem, przeniósł się niebawem na sąsiednie zagrody Walentego Broszczyka i Marjanny Proszarskiej. Na ratunek pospieszyli mieszkańcy całej wsi. Między nimi znalazła się również kulawa wieśniaczka, 60-letnia Anna Rukszczyńska. Staruszka dokazywała wprost cudów odwagi. Kulejąc, zdołała wyprowadzić inwentarz z dwóch obór. Mimo zmęczenia i licznych oparzeń twarzy i rąk, nie bacząc na perswazje wieśniaków, żebraczka weszła ponownie do obory, chcąc wyprowadzić konia. W momencie, gdy znalazła się wewnątrz budynku, zapadł się dach. Przepalone belki i krokwie przygniotły nieszczęśliwą staruszkę. Po rozrzuceniu niedopałków wydobyto już tylko zwęglone szczątki żebraczki.

Zbrodnicza złośliwość. Są kobiety przeczulone i tak przez to złośliwe, że niekiedy złośliwość ta zaciemnia im całkiem umysł i wówczas nie wiedzą same, co czynią, a zwłaszcza w sporach z sąsiadkami. Taka właśnie złośliwość nerwowej i przeczulonej kobiety była przedmiotem rozprawy przed sądem karnym w Bydgoszczy. Na ławie oskarżonych zasiadła Emilja Janiak. Oskarżona, czując złość do swej sąsiadki, postanowiła w jakikolwiek sposób zemścić się na niej. Nie namyślając się więc, wzięła pewną ilość fosforu, jaki mąż jej przechowywał w mieszkaniu na tępienie szczurów i pobiegła z tem do mieszkania sąsiadki. Korzystając, że w kuchni nie było nikogo, uchyliła niepostrzeżenie drzwi i wsypawszy fosfor do wiadra, pełnego wody, ulotniła się. Szczęściem manipulację oskarżonej zauważyły inne kobiety i natychmiast ostrzegły poszkodowaną sąsiadkę, która posłała wodę do zbadania chemicznego. Okazało się, że w wodzie była trucizna i sprawa znalazła się przed forum sądowem. Oskarżona tłumaczyła się, że „tylko“ chciała dokuczyć sąsiadce, płatając jej „figla“, lecz nie wiedziała i nie zdawała sobie sprawy z tego, że to była trucizna. Sęd po przeprowadzonej rozprawie, biorąc pod uwagę okoliczności łagodzące, skazał oskarżoną na 5 miesięcy więzienia.

Obrabowanie 40 furmanek. Z Lublina donoszą: Nienotowany w kronikach policyjnych rabunek zdarzył się 28 ub. m. opodal lasu na odcinku Izbica - Zawada. Dwóch uzbrojonych bandytów w bezczelny sposób obrabowało około 40 furmanek Przebieg tego niezwykłego wypadku był następujący: Bandyci zaczaili się w rowie, z zamiarem obrabowania wracających z jarmarku kupców. Z nastaniem mroku, bandyci stanęli na szosie i zaczęli zatrzymywać jadące furmanki, żądając pod groźbą użycia broni, pieniędzy. Przerażeni chłopi bez oporu oddali wszystko, co mieli. Ośmieleni powodzeniem, bandyci w ten sam sposób obrabowali właścicieli przeszło 40 wracających z jarmarku furmanek. Steroryzowani chłopi, po oddaniu pieniędzy, uciekali, obawiając się o życie. Bandyci, zebrawszy większą ilość gotówki, zbiegli w las. Powiadomiona o tem policja, wszczęła energiczny pościg za bandytami.

Potworne morderstwo rabunkowe. W nocy z 28 na 29 ubiegłego miesiąca we wsi Akidany, gminy Łętupy, popełnione zostało wstrząsające morderstwo rabunkowe. Zamordowana została niejaka Krystyna Teterantijówna. Co zrabowano w jej mieszkaniu, nie zdołano dotychczas ustalić, ponieważ ofiara mieszkała na odludziu i z nikim nie utrzymywała bliższych znajomości. W okolicy krążyły tylko wieści o ukrywaniu przez nią rzekomo większej sumy pieniężnej. Morderca dostał się do mieszkania przez okno i — jak wskazują ślady — musiał stoczyć z ofiarą zażartą walkę, o czem świadczą połamane krzesła, stoły i naczynia. Morderca zadał swej ofierze kilkanaście ran ciętych w głowę, a następnie pochwycił widły, które stały w kącie i zadał jej dwukrotny cios w plecy. Po drugiem uderzeniu morderca pozostawił widły w plecach ofiary i w takim stanie znaleziono jej zwłoki. Władze śledcze zarządziły dochodzenia. Zbadano okolicę i przysiółki okoliczne i w odległości półtora kilometra od wsi Akidany znaleziono w starym wojennym schronie garderobę i poduszki, zrabowane zamordowanej. Władze śledcze podejrzewają o dokonanie morderstwa krewnego zamordowanej, niejakiego Teodora Teterantija, który gdzieś się ukrywa.

Stracenie siedmiu szpiegów. Z Wilna donoszą: W Baranowiczach dokonano egzekucji na siedmiu szpiegach, skazanych przez sąd doraźny na karę śmierci przez powieszenie. Zaraz po ogłoszeniu wyroku skazani za pośrednictwem swych obrońców odnieśli się do Prezydenta Rzeczypospolitej z prośbą o ułaskawienie. Ponieważ p. Prezydent nie skorzystał z prawa łaski, wyrok stał się prawomocny. Egzekucja rozpoczęła się o godz. 9'25 rano. Skazańców wyprowadzano z celi po.

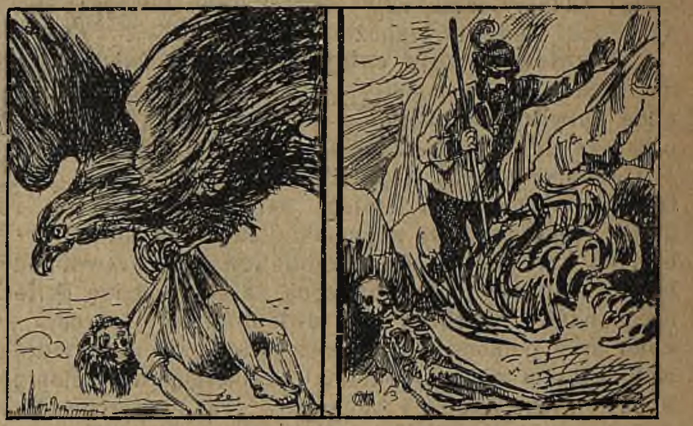
dwóch, jakkolwiek na podwórzu ustawione były trzy szubienice. Wykonanie wyroku trwało około 5 godzin, tak, że akt zejścia ostatniego skazanego sporządzony został dopiero około godz. 2 popołudniu. Na szubienicy zawiśli działacze, skazani za działalność szpiegowską na rzecz sowietów. Byli to mieszkańcy powiatu baranowickiego i nieświezkiego, nazwiskiem Nikifor Dwirko, Nitrofan Kaczeja, Jan Borys, Mikołaj Tarakowicz, Anatol Kasicki, Jan Sarakowik, Aleksander Skaczko. Wszyscy skazani zachowywali się spokojnie. Jeden z nich, Borys, modlił się. Przed wykonaniem wyroku skazańcy wyspowiadali się przed popem prawosławnym.

Straszne lekarstwo na gadatliwość kobiecą. W Bonn nad Renem we Francji mieszkał niejaki Ernest Goebel, który miał nadzwyczaj gadatliwą żonę. Pewnego razu, gdy jego przezacna połowica nie ustawała tyrcześ mu poza uszami, obezwładnił ją i włożył jej głowę do wiadra z wodą, aby tym sposobem przerwać potok jej wymowy. Trzymał jednak zadługo; babina wyzionęła gadatliwego ducha. Goebel po zbrodni ukrywał się długo, ujęto go jednak obecnie i skazano na śmierć zapomocą ścięcia toporem.

Suczka powodem morderstwa. Osobliwego mordercę sądził przed kilku dniami francuski sąd przysięgłych Sekwany w Paryżu. Jest nim Paweł Fichtner, który zabił kobietę i zranił mężczyznę z powodu psa. — Fichtner mieszkał z żoną w willi, w sąsiedztwie niejakiego Hechtera i jego przyjaciółki, pani Hoffman. Pani Hoffman miała suczkę, podarowaną jej przez pewnego znajomego. Pewnego dnia suczka znalazła się w ogrodzie Fichtnera, który skorzystał ze sposobności, przywłaszczył ją sobie i mimo protestów pani Hoffman nie chciał jej zwrócić. Aż dowiedział się o tem znajomy pani Hoffman, dostał się pod nieobecność Fichtnera do jego domu i zabrał suczkę. Poirytowany tem Fichtner wpadł do mieszkania pani Hoffman i wszczął gwałtowną kłótnię. W czasie kłótni padły „mocne“ słowa ze strony pani Hoffman. Obrażony Fichtner wyjął rewolwer i strzelił kilkakrotnie, zabijając na miejscu panią Hoffman i raniąc lekko Hechtera. Morderca wyznał, że znajdował się w stanie silnego zdenerwowania i żałuje popełnionego czynu. Grozi mu kara więzienia.

Romans miljonera z aktorką. Zaręczyny głośnego amerykańskiego fabrykanta maszyn rolniczych, posiadającego wielomiljonowy majątek, Karola Parkera, z piękną aktorką filmową Dorotą Mackail wywołały żywe poruszenie. Nie to jednak jest ciekawe, ale ciekawszy jest życiorys Parkera, jako przykład, że praca i oświata nawet z biedaka mogą zrobić bogacza. Otóż Karol Parker, jako 6-letni chłopak, stracił rodziców i znalazł się zupełnie bez środków do życia. Dzięki poparciu ludzi litościwych został chłopcem do posług w pewnej cukierni nowojorskiej. Przez szereg lat musiał pracować dość ciężko, aby zarobić na kawałek chleba. Wcześnie tedy zaprawił się do walki z losem i nauczyl się twardej szkoły życia. Mimo to jednak, gdy podrósł, korzystał z każdej wolnej chwili, aby się uczyć. Szczególnie interesowały go dzieła z zakresu fizyki i chemji. Po pewnym czasie zaczął próbować własnych sił w dziedzinie wynalazków. Sam konstruował jakieś prymitywne modele i nieraz całe noce trawił na pracy. Wreszcie potrafił zainteresować jakimś drobnym a jednak ważnym wynalazkiem pewnego fabrykanta maszyn, który dał mu korzystną posadę w swej fabryce Niebawem Parker został w owem przedsiębiorstwie dyrektorem.

Dziecko wyrwane ze szponów orła. Podczas jesiennych robót polnych w Ameryce koło miejscowości Georgetown, niejaka Lloyd Dorman posłyszała krzyk swego 15-miesięcznego dziecka, zostawionego opodal na trawniku. Odwróciwszy się, ujrzała nad dzieckiem wielkiego orła, wpijającego już szpony w ciało dziecka. Pobiegłszy coprędzej, odpędziła orła łopatą i uratowała dziecko od porwania. — W związku z tem rozpoczęło się polowanie w tamtejszych górach na tych niebezpiecznych drapieżników. Jeden z myśliwych, ubiwszy jednego drapieżnika, nie mógł się do niego dostać z braku liny, wobec czego wyprawę odłożył na później.



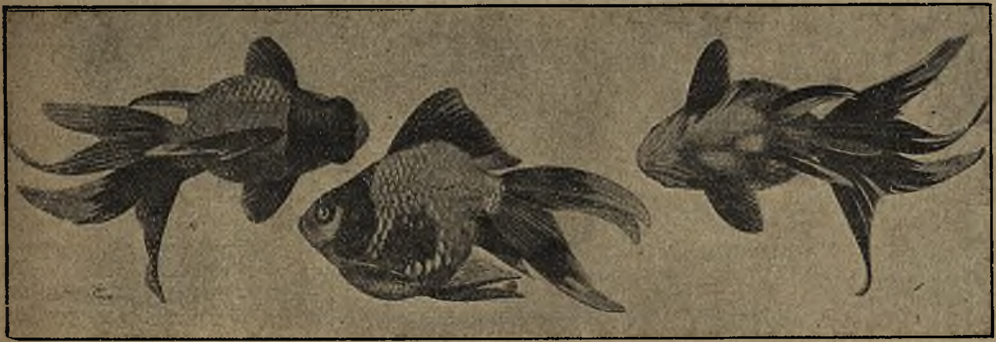
W mniemaniu, że w miejscu, gdzie ubił drapieżnika, znajduje się gniazdo orle, z pomocą przyniesionej liny wydrapał się tam, gdzie zobaczył ku swemu zdumieniu nietylko szczątki ubitego orła, ale i szczątki małego dziecka z resztkami koszulki, które stało się łupem drapieżnika i tu zaniesione, jak to widzimy na naszym obrazku.

Niema czarownica z Overlandu. Na końcu wioski Overland pod Filadelfją w Ameryce mieszkała w drewnianej chacie dziwna istota. Wiedziano, że nazywa się Oversham, ale pozatem nic więcej. Przybyła ona tam przed 30 laty i sama zbudowała sobie swój dom. Zwoziła deski i belki, a gdy ktoś chciał jej pomóc, groziła pięścią i odpędzała, wciąż uparcie milcząc. Wychodziła rzadko ze swej chaty. Gdy wchodziła do sklepu. wybierała towar i płaciła, nie wyrzekła ani słowa. Przed paru dniami umarła, Pod poduszką jej znaleziono dokumenty, z których dowiedziano się, że zmarła była córką bogatego właściciela plantacyj. Rodzice wychowywali ją w zbytku, nie odmawiając jej niczego. Pragnęli tylko, aby ich jedynaczka wyszła za mąż. Gdy bogata panna ukończyła lat 18, brat jej, który był oficerem i służył w Nowym Jorku, przywiózł do domu kolegę swego, pięknego porucznika, p. Overshama. Panienka zakochała się w nim z miejsca. Rodzice jednak, dowiedziawszy się, że oficer ów jest człowiekiem lekkomyślnym, kazali mu wyjechać ze swego domu i nie pokazywać się im więcej. Ale miłość była silniejsza. Zakochana dziewczyna uciekła z domu rodzicielskiego i poślubiła porucznika Overshama. Przepłaciła jednak drogo swój postąpek. Lekkomyślny mąż zdradzał ją, wreszcie porzucił wraz z dzieckiem. Zbyt dumna, aby prosić rodziców o pomoc, pracowała ciężko na siebie i dziecko. Ale oto spotkał ją nowy, a niespodziewany cios. Gdy pewnego dnia wróciła z roboty, nie zastała dziecka. Widocznie ojciec je porwał, a policja, która rozpoczęła poszukiwania, nigdy uprowadzonego dziecka nie zdołała odnaleźć. Od tej chwili pani Oversham nie przemówiła do nikogo ani słowa, a ludność z tego powodu nazwała ją niemą czarownicą.

RZECZY CIEKAWE.

Latające ryby.

Niejeden, przeczytawszy powyższy tytuł, pokiwa głową i powie, że są pływające ryby, ale latających ryb być nie może, gdyż przecie ryba bez wody żyć nie potrafi. A przecież ryby takie istnieją i dziś właśnie podobiznę ich podajemy na naszym obrazku. Ryby te możnaby śmiało nazwać podwodnemi jaskółkami, gdyż podobnie, jak jaskółki, żywią one się muszkami, latającemi ponad wodą. Taka latająca



ryba przebywa stale pod samą powierzchnią wody i stamtąd śledzi uważnie, czy ponad powierzchnią wody nie zobaczy jakiego latającego stworzonka. A gdy je zobaczy, momentalnie opiera się płetwami o toń wodną i wypryskuje ponad powierzchnię zwierciadła wodnego. Nim unosząca się muszka ponad wodą spostrzeże swojego nieprzyjaciela, już niknie w jego pyszczku nazawsze. I nie dość na tem, taka latająca ryba potrafi nietylko wznieść się ponad powierzchnię wody, ale zdoła zatoczyć kilka kół w powietrzu i jeszcze niejedną zdobycz upolować. Potem opada znów na wodę, zanurza się w jej falach i czeka dalej na nową ofiarę swej żarłoczności. Można nieraz całe stada takich latających rybek obserwować nad wodami ciepłych krajów.

Najmniejszy człowiek na świecie.

Najmniejszym człowiekiem na świecie jest bezwątpienia obywatel Persji, Sheik Salim, który wyruszył obecnie w podróż po Europie. Oczywiście nie można tu brać w rachubę dzieci w pierwszych dniach życia, lecz tylko osoby, które już przekroczyły okres swojego wzrostu. Najmniejszy z ludzi na świecie, karzeł perski, liczy lat 50 i cieszy się doskonałem zdrowiem, a wzrost jego wynosi tylko 48 cm. Ma on niechybnie przed sobą długie jeszcze lata życia, gdyż, jak wiadomo, karły żyją bardzo długo. Większymi od niego byli Sherwood Stratton, sławny pod mianem generała Toma Puce, który mierzył 78 cm. wysokości, dalej karzeł rosyjski Dantlow 76 cm. wysokości, ulubiony karzeł księżnej Orleanu, Richebourg, mierzący 53 cm. O tym ostatnim opowiadają, że w czasie rewolucji francuskiej „uszedł" z Paryża, przebrany za niemowlę na rękach piastunki. Richebourg zmarł, mając 92 lata życia, a karlica Teresa Sotrey występowała jeszcze przed publicznością, gdy liczyła 73 lata.

Obyczaje cygańskie.

Prawo cygańskie zakazuje surowo rozwieszania sukni i bielizny kobiecej wewnątrz wozów, w których mieszkają rodziny cygańskie.

Dlaczego? Czyżby ze względów higjenicznych? Cygan, który dotknie się ręką lub głową rozwieszonej odzieży kobiecej, jest uznany jako baletchido, t. j. pozbawiony czci. Cyganka staje się pozbawioną czci, gdy mężczyźni zobaczą na niej koszulę.

Dziecku nie daje się z zasady smoczka. Wino, wódkę, piwo daje się maleństwu już w kilka dni po urodzeniu. Chrzest dziecka uważa całe romanitschel (gromada) za interes. Na ojców chrzestnych zaprasza się gatsche (nie cyganów), bo chodzi o to, by dali podarki. Czasem chrzest tego samego dziecka odbywa się dwa i trzy razy w różnych wsiach, ażeby tylko zdobyć więcej podarków. We wsi, w której odbył się pierwszy chrzest, nie wolno już cyganom ani kraść ani przepowiadać (tschort i dorgert), bo toby przyniosło niemowlęciu szkodę.

Cyganie żenią się bardzo młodo. Dziewczyna nosi czerwoną przepaskę we włosach.

Cyganie mają własne, tajne pismo w rodzaju klinów, które zostawiają po sobie dla informacji innej gromady, gdy wędrują z jakiejś okolicy. „Piszą" na ścianie i na drzewach. Głowa gromady ma władzę sądowniczą. Gdy cygan umiera, ubierają go w najlepsze odzienie i składają mu do grobu rzeczy, które najbardziej lubiał w życiu. Grób zdobią cyganie wstążkami, bransoletami, a wieś, w której złożono cygana, jest nazawsze wolna od kradzieży i oszukaństw, bo „w przeciwnym wypadku umarły nie mógłby leżeć spokojnie w grobie..."

Wóz, w którym umarł cygan, pali się całkowicie, a rodzina nabywa inny. Przed zamieszkaniem go odbywa się poświęcenie. Tańczy się wtedy, śpiewa, pije, pali ognie.

Sposoby walczenia u pierwotnych ludów.

Dziki lub barbarzyńca zwykł napadać nieprzyjaciela znienacka, dla zabicia go jak dzikie zwierzę, zwłaszcza kiedy chodzi o nienawiść osobistą lub zemstę krwawą.

Jednakże nawet u plemion niższych znajdujemy wybitną różnicę, zakreśloną pomiędzy takiem zabijaniem a wojną regularną, prowadzoną nietyle dla zagłady wzajemnej, ile dla załatwienia sporu między dwoma obozami.

Krajowcy australscy wydają sobie wojnę w ten sposób, że jedno plemię przesyła drugiemu pęk piór emu, przywiązanych na końcu włóczni. Jest to wyzwanie do walki na dzień następny. Wówczas dwie strony spotykają się w szyku bojowym, a dla nadania sobie grozy malują nagie ciała, wywijają lancami i maczugami; wydają przeraźliwe okrzyki i miotają obelgi.

Każdy wojownik ma swego przeciwnika, tak, że walka staje się szeregiem pojedynków. Lanca uderza na lancę. Zapaśnicy uchylają się od ciosów lub odbijają je ze zręcznością zadziwiającą, aż gdy jeden człowiek padnie zabity, bójka się kończy.

Wśród Botokudów w Brazylji kłótnia, powstała naprzykład stąd, że jedno plemię poluje na świnie w rezerwacie leśnym drugiego, może być załatwiona uroczystym pojedynkiem na kije. Pary wojowników biją się wówczas ciężkiemi pałkami, a kobiety walczą zapomocą drapania twarzy i targania sobie włosów. Trwa to tak długo, póki jedna strona nie podda się. Jeżeli wszakże w takiej potyczce stro-

na pobita chwyci za łuki i strzały, scena może się zamienić w walkę rzeczywistą. Gdy już dochodzi do wojny regularnej, Botokudzi ustawiają się naprzeciwko nieprzyjaciela, a sypnąwszy strzałami, rzucają się wśród okrzyków wojennych do walki z nadzwyczajną zaciekłością, zabijając mężczyzn, kobiety i dzieci.

Urządzają też wyprawy dla rabowania wiosek sąsiadów, a gdy nieprzyjaciel wyruszy przeciw nim, wbijają drzazgi w ziemię, ażeby go okulawić, strzelają z zasadzek za powalonemi pniami lub osłonami z gałęzi.

Poległych w bitwie porywają, ażeby ich ugotować i pożreć na uczcie, przy wyuzdanych pijackich tańcach.

Wypadki takie rozgrywają się często jeszcze i dziś.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli" otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Strach na Łysej Górze", „Cudowna opieka", „Nasze obywatelskie obowiązki", „Przygody Jacusia", „Piszczałka", „Gdynia", „Z pamiętnika bezdomnej" „Jak pewien sierota za życia był w niebie?", „Jak dziadek chodził po prośbie", „O zakładaniu sadów", „Zioła lecznicze", „Jak Iwan żydów wiózł do Czerniowiec", „Szczęście", „Djabła djabłem wypędził", „Dwie bratowe". — **Czesław Strzelczuk** w B.: Nie wydrukujemy, bo chociaż myśli w wierszykach są ładne, to jeszcze forma nie opanowana. — **Stanisław Jucha** w K.: Otrzymaliśmy, lecz czy zamieścimy, dziś jeszcze nic stanowczego powiedzieć nie możemy. — **Stefan Kulis** w D.: Wierszyków nie wydrukujemy, gdyż są one zbyt dobrze znane. Np. „Z Bogiem", można znaleźć w każdym śpiewniku szkolnym. — **Stanisław Majcher** w N.: Prac, nadsyłanych na konkurs, obecnie nie czytamy, więc nie wiemy, która z nich jest dobra, a która nie. Będziemy je czytali dopiero w styczniu, po upływie konkursu, a wówczas każdą z nich ocenimy. Wierszyk słaby. — **Jan Smołka** w Z.: „Pszczelarz Polski" wychodzi raz na miesiąc, a prenumerata roczna kosztuje 10 złotych. Jest to pismo bardzo dobre. Adres: Łomiański pod Warszawą. Prosimy powołać się na „Rolę". Uli mamy kilka gatunków, najbardziej w Polsce rozpowszechnione są: Słowiańskie, Warszawskie, Amerykańskie kilku systemów. Ule słowiańskie otwierają się z boku, natomiast arszawskie i amerykańskie z wierzchu. Dobroć pszczół nie zależy od ula, w jakim one żyją, lecz od pożytku w danej okolicy i od matki. Jeżeli matka jest młoda, to znosi dużo jajeczek, wskutek czego rodzina pszczela szybko się pomnaża, a gdy jest w ulu pszczół dużo i pożytek dopisze, to w każdym ulu będzie dużo miodu. Matki nie należy bezwarunkowo dłużej trzymać w ulu, jak dwa, a już najwyżej trzy lata. Potem staje ona się niemal bezużyteczną, czerwi nadzwyczaj słabo, wskutek czego pień słabnie, a wkońcu ginie. — **Michalina Milska** w N.: W południowej Ameryce jest rzeczywiście teraz wiosna, a pochodzi to stąd, że kula ziemska południowa strona zwrócona jest ku słońcu. Gdy u nas będzie wiosna, to na południowej półkuli będzie jesień; podczas naszej zimy, tam jest lato i przeciwnie, gdy u nas lato, to tam trwa zima. Jedynie w strefie gorącej niema nigdy takiej zimy, jak u nas, ale cały rok trwa lato, mniej lub więcej upalne. — **Stanisław Nowak** w R.: Za tak miłe dla nas słowa uznania serdecznie dziękujemy. Staramy się uczynić wszystko, aby zupełnie zadowolić naszych Czytelników. — **„Zefirek"** w T.: Wierszyk bardzo słaby; nie wydrukujemy. — **Br. J. Wilk** w D.: Wszystko w porządku — tylko jedna rzecz: żeby ta Dukla chociaż o kilkanaście mil była bliżej Krakowa! Za pozdrowienia bardzo dziękujemy, jak również za przesłaną fotografję. Ale że za mało interesujący szczegół, więc w „Roli" ilustrację nie zamieściliśmy. Na aparat amatora prędzej będzie można znaleźć na wiosnę. Cenę możemy dołączyć. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Wyszatycki Kazimierz** w St. S.: Adres „Pszczelarza": Łomianki pod Warszawą. Kroniki w numerze. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Winiarski Józef** w Ł.: O tym banku już raz odpowiadaliśmy. Istnieje. O rychłej pożyczce niema mowy. Najpierw wpis, płacić wkładki (udziały), no i do ogonka, który stale jest bardzo długi. Czy pewny — nie wiemy.

Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Robak drzewny.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Siłacz biblijny.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Kwiat ogrodowy.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Krzew owocowy.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Miasto biblijne.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Aktor filmowy.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Osobliwość Wiednia.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Góra w Abisynji
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Zwierzę płochliwe.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Zabójczy gaz.
■ ☆ ☆ ☆ ☆ ☆ Bóg nieba.
☆ ■ ☆ ☆ ☆ ☆ Rząd.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Kraj w Półn. Ameryce.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ Część łodzi.
☆ ☆ ☆ ☆ ■ ☆ Ptak domowy.
☆ ☆ ☆ ☆ ☆ ■ Postać z „Lalki" Prusa.

Litery w miejscach krzyżyków dadzą imię i nazwisko bohatera walczącego o wolność Polski i Stanów Zjedn.

2. Szarady.

I.

(Ułożył Biłka Głębicki z H).

Pierwsze drugie rolnik orze,
(W lecie faluje, jak morze) —
W drugim trzecim chwila błoga,
Gdy zima przeminie sroga —.
Całość hen na wschodzie leży,
Gdzie Prypeć do Rosji bieży.

II.

(Ułożył Wł. Sowiźrał z J.).

Pierwszą drugą mężczyźni dawniej nosili,
I teraz jeszcze żydzi mają
Ci, co talmudu ściśle się trzymają.
Reszcie golarze całkiem wygolili,
Druga trzecia to porcyjka mała
Lekarstwa albo i żywności,
Całość jest czarna i twarda, lecz nie jak [skała,
Siedzi na naszej skórze a nigdy na kości.

III.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

„Ko" bij ile tylko wlezie,
Połóż je na żelezie,
Aż z twej pracy rzemieślnik powstanie
Który ci za to da tęgie lanie.

3. Konikówka.

(Ułożył A. Sordyl z Ż.).

czło	tchnie	chwi	ma	znaj
nej	nie	wiek	nie	li
wy	wity	cę	dzie	ni
wiec	wol	na	na	a
Praco	pra	leni	gdy	czas

Ruchem konika szachowego odczytać znane przysłowie.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 18 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 48 „Roli": 1. Logogryf: Lucjan Rydel. 2. Szarady: I. Ameryka. II. Bonaparte. III. Kościuszko. IV. Pierścień. 3. Konikówka: Bez lejca na wóz, bez wiosła na wodę, bez ostróg na konie nie wsiadaj.

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali pp.: Józef Górecki z K., Piotr Wenc z S., Stanisław Gryzełko z B., Krystyna Górecka z K., Józef Topolski z B., Alojzy Iwanek z K., Adam Gleń z K., Leopold Wołek z Rz., Stanisław Nowak z R., Jakób Jezioranski z K., Władysław Gąsienica z Z.

Nagrody wylosowali pp.: Alojzy Iwanek z K. i Stanisław Gryzełko z B.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Lepiej od wszelkich pięknych słów przekonają Szan. Państwa o skuteczności naszego od lat znanego środka **odradzającego krew i nerwy** „Fregalin“ dowody, które poniżej przytaczamy. Tysiące osób, które „Fregalin“ używały, nie zawiodły się. „Fregalin“ działa nadzwyczajnie u cierpiących na nerwy, brak sił, ogólne osłabienie, zawroty głowy i bóle reumatyczne. Prosimy upewnić się o tem u lekarza. Do ciężkiej walki o byt codzienny potrzeba silnych nerwów i zdrowej krwi. — **Należy uważnie przeczytać, co niżej podpisani twierdzą o skuteczności tabletek „Fregalin“, ażeby zdać sobie sprawę z doniosłości tego nadzwyczajnego środka.** — W archiwum naszem znajdują się tysiące takich podziękowań, napływających samorzutnie z kraju i z zagranicy, a które każdego czasu w biurze naszem przejrzeć można. — Wszelkie podziękowania są notarjalnie zatwierdzone. — „Fregalin“ otrzymać można w każdej aptece. — „Fregalin“ sporządzony jest pod naukowym nadzorem.



Ringhan I. Bayern, d. 3. 5 1930.
Post Teisendorf.

Spieszę zakomunikować, że moja choroba krwi i nerwów, zmęczenie i niechęć do pracy znikły. Mogę znów wykonywać wszelką pracę i czuję się doskonale już po użyciu 4 pudełek Fregalinu. Tabletki będę polecała wśród mych przyjaciół. *Marie Kemmhuber.*



Łódź, Marszałkowska 10.
15 maja 1931.

Od 15 lat cierpiałem na słabe nerwy i bóle w piersiach. Po użyciu pierwszych 3 pudełek »Fregalinu« wzmocniłem całkowicie nerwy, a bóle w piersiach znikły. Dziękuję Wam za to i za Wasz doskonały »Fregalin«. *M. Zurek.*



Weissenhorn (Schwaben). Unt. Mühlstr. 1, d. 6. 4. 30.

Po użyciu »Fregalinu« ozdrowiałem tak, że czuję się, jak nigdy zdrową. Mam apetyt, mogę znowu jeść wszystko, aczkolwiek przedtem dostawałam wymiotów. *Barbara Schmidt.*

Na życzenie dostarczamy bezpłatnie i bez zobowiązania

próbne przesyłki „Fregalin“

wraz ze „Złotą księgą życia“.

Prosimy napisać wcześnie, dopóki zapas próbek starczy, pod adres:

Dr. med. H. SCHULZE B. m. b. H.

Berlin-Charlottenburg 2/4071

Za zwrotem niniejszego kwitu jako druku (porto zagraniczne).

Proszę o próbną przesyłkę „**FREGALIN**“, środka odradzającego nerwy i krew ze »Złotą księgą życia«, bezpłatnie i bez wszelkich zobowiązań.

Nazwisko.............

Zawód.............

Miejscowość (urząd poczt., wieś lub gmina i powiaty).

Ulica.............

4071

Giełda płodów rolniczych

z dnia 1 grudnia b. r.

Pszenica	27·00—27·50	Słoma długa	8·00—8·50
Żyto	27·00—27·25	Ziemniaki stoł.	5·00—5·50
Owies	25·00—25·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień	22·00—23·00		
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka żytnia	44·00—44·50
Groch zwyk.	28·00—30·00	Mąka pszen.	47·50—48·50
Siano słodk.	12·00—14·00	Otręby pszen.	16·00—16·50
Łubin żółty	21·00—22·00	Otręby żytnie	16·50—17·00
Koniczpastew.	16·00—18·00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 1 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje	od 0·70 do 0·85 zł.	Jałownik	od 0·70 do 0·74 zł.
Woły	od 0·70 do 0·78 zł.	Cielęta	od 1·00 do 1·25 zł.
Krowy	od 0·54 do 0·58 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·20 do 1·32 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·50 do 1·60

Na Gwiazdkę!

Najmilszy podarek!

Polecamy w wielkim wyborze po specjalnie niskich cenach i na dogodnych warunkach.

PATEFONY SZWAJCARSKIE I ANGIELSKIE

Walizkowe po zł. 75.—, 90.—, 120.—, 150.—, 220.—
Skrzynkowe po zł. 130.—, 180.—, 220.—, 260.—, 320.—
Salonowe po zł. 240.—, 290.—, 330.—, 390.—, 450.—

RADJA PRECYZYJNE KOMPLETNE Z ANTENĄ

Detektor na krótk. i dł. fale zł. 35.—, 39.—, 45.—
Odbiorniki 2 lampowe . . . zł. 230.—, 290.—, 320.—
Odbiorniki 3 lampowe . . . zł. 330.—, 450.—, 650.—
Odbiorniki z gramofonem . zł. 600.—, 900.—, 1500.—
Płyty symf. operowe i taneczne zł. 2.—, 4.—, 5.—, 6.—,
oraz wszelkie części gramofonowe i radjowe

najkorzystniej do nabycia tylko w składach fabrycznych wszelkich instrumentów muzycznych

„MUZA“ Kraków „HARMONJA“

GRODZKA 15. PL. MARJACKI 1.

Wszelkie naprawy gramofonowe i radjowe uskuteczniamy najtaniej pod gwarancją.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

na rok 1932

jest już do nabycia w Administracji „Roli“ po cenie 2 zł. 95 gr. — Po zgłoszeniu zamówienia wysyłamy czek na Kalendarz w numerze »Roli«.

Baczność!

Nowo otwarta **introligatornia i sprzedaż papieru, przyborów szkolnych i kancelaryjnych oraz walizek, teczek, portfeli i torb w Strumieniu**, Śląsk Ciesz. (naprzeciw poczty).

Solidna i trwała oprawa książek, po cenach bardzo niskich. O wszelkie prace i zakupy uprasza

E. Brachaczek, **Introligator.**

„Zemsta cygana“

sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim. Cena 6 zł. wraz z utworem muzycznym.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.